

POD WIATR

NR3 (156) ROK XVIII CZERWIEC/LIPIEC 2011 CENA 2,10 zł (w tym 5% VAT)

INDEKS 325112 ISSN 1231-0875

SAMI O SOBIE CZASOPISMO MŁODZIEŻOWE

3



fot. archiwum

W numerze

**„Cyganeria”
okiem statysty**

**Zapach
speedwaya**

**Zwierciadło
świata**

Na przekór

**Ekologia
bez granic**

**Witryna
Literacka**

■ Autorem POD WIATR jest młodzież: amatorzy dziennikarstwa, literatury, sztuki plastycznej i fotografii. Czasopismo czytane jest w 500 środowiskach polonijnych 106 krajów.

■ POD WIATR is created by young people: amateurs of the journalism, literature, fine arts and photography. This journal is read in 500 Polish centers in 106 countries.

BYDGOSZCZ



9 771231 087108 03 >

Nasze dialogi

Siedzę w kawiarence, pijam ciepłą herbatę, mimo woli przysłuchuję się rozmowom przy stolikach. I zastanawiam się, czy dzisiejsze społeczeństwo, a w szczególności my, młodzi, potrafimy ze sobą rozmawiać. Z doświadczeń środowiska, w którym żyję, wiem, jak najczęściej wygląda rozmowa współczesnych nastolatków. Puste słowa w rodzaju „spoko”, „nara”, „jesteś cool”, „okej”, „super” sprawiają, że tak naprawdę nie mamy sobie nic

do powiedzenia. Nie potrafimy ze sobą rozmawiać zdaniami, które coś znaczą.

Sokrates powiedział kiedyś, że rozmowa z drugim człowiekiem jest najważniejsza. Przez całe swoje życie rankiem wychodził na ulice, by móc porozmawiać z napotkanymi, zupełnie obcymi mu ludźmi. I uważam, że nikt przed nim i po nim nie umiał już tego robić.

Bo tak naprawdę my nie rozmawiamy, nawet nie wiemy, jak to się robi. Co naj-

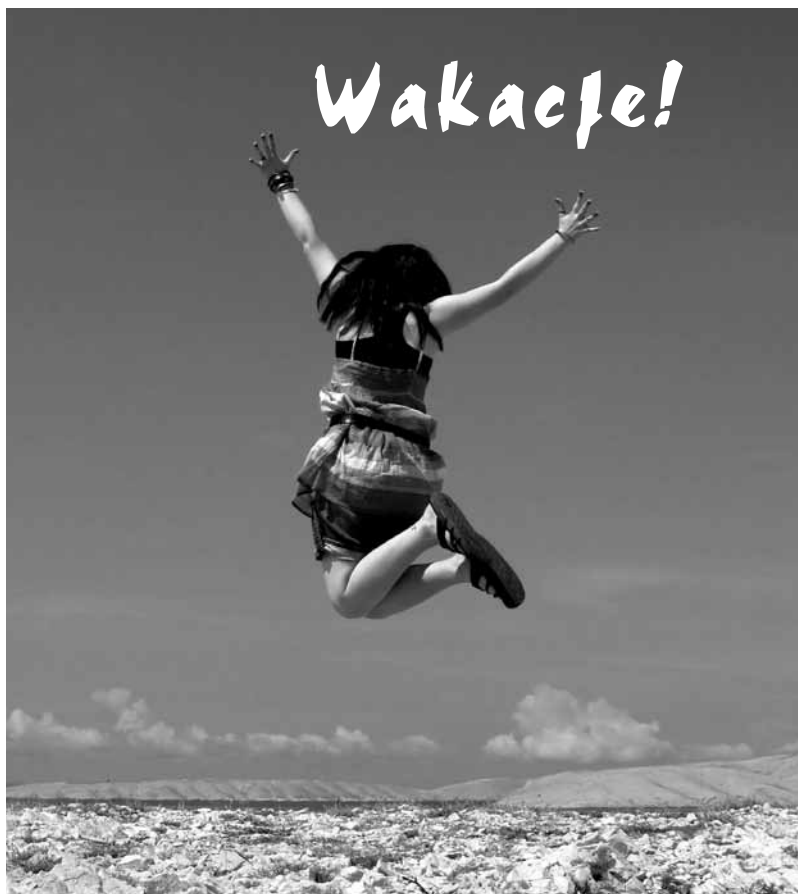
wyżej komunikujemy się ze sobą za pomocą słów-szyfrów, ot, byle coś powiedzieć. Prawie nikt z nas nie rozmawia tak, aby pod wpływem przytoczonych argumentów ktoś, lub my sami, mógł zmienić zdanie o czymś czy o kimś. A wszystko dlatego, że zmianę zdania, opinii uważamy za brak charakteru.

Sokrates rozmawiał naprawdę. Niezwykle uważnie słuchał, co mówią inni, oczekując, że inni również go usłyszą. A my? Nawet, gdy ze sobą rozmawiamy, to i tak nie potrafimy słuchać siebie nawzajem. Co najwyżej słuchamy swoich myśli i swojego głosu.

Ludzie, którzy potrafią ze sobą rozmawiać, nie mają czasu na kłótnie po-

lityczne, wojny, na krzywdzenie bliźnich. Bo rozmawiając ze sobą, słyszymy drugą osobę i chcemy ją jak najlepiej zrozumieć. Gdyby więc wszyscy pojęli istotę, sens rozmowy, gdyby pamiętali, jak to się robi, żeby dialog był pożyteczny – to może nie byłoby tylu niepotrzebnych waśni, zacierzenia, krzykliwych kłótni, krwawych rewolucji i przemocy. I dlatego uważam, że ta prawdziwa rozmowa jest miłością bliźniego. Ponieważ tak wielu z nas zapomniało, co to znaczy rozmawiać – tej prawdziwej miłości jest tak niewiele lub nie ma jej wcale.

Natalia Kowalska I. 16



POD WIATR tworzą amatorzy dziennikarstwa, literatury, sztuki plastycznej i fotografii, znajdujący satysfakcję i przyjemność w prezentowaniu na łamach pisma swoich przemyśleń, refleksji, komentarzy wyobrażeń i wizji artystycznych. Autorami czasopisma są uczniowie i studenci z Pomorza, Kujaw i Wielkopolski oraz młodzież pochodzenia polskiego mieszkająca za granicą.

Ideą POD WIATR, ukazującego się od października 1993 r., jest umożliwienie młodzieży mówienie własnym głosem o swoich sprawach, promocja talentów dziennikarskich i artystycznych, a także wspieranie dążeń młodych ludzi do intelektualnej samorealizacji.



Łamy pisma oddajemy również dorosłym, którzy nas czytają i pragną do nas napisać. „Polski świat” tworzymy razem i razem za niego odpowiadamy. Przeszłość i teraźniejszość to droga, którą warto przebyć wspólnie. Dla przyszłości.

Nasz adres:

POD WIATR
85-099 Bydgoszcz 23
skrytka pocztowa 49
www.podwiatr.pl
e-mail:
podwiatr93@wp.pl
wiatr@byd.top.pl



Czasopismo młodzieżowe
POD WIATR
dotowane jest przez Kancelarię Senatu
Rzeczypospolitej Polskiej.



Zakup części nakładu czasopisma
POD WIATR dla Polonii
sponsoruje DRUKARNIA ORTIS Sp. z o.o. w Bydgoszczy
http://www.ortis.com.pl/pl/kontakt/kontakt_5

* Dla Towarzystwa Kultury *
* Polskiej Ziemi Lwowskiej *
* we Lwowie *
* zakup czasopisma *
* POD WIATR *
* sponsoruje KSIĘGARNIA *
* PEDAGOGICZNO-SZKOLNA *
* Marii Maćkowiak, *
* ul. Markwarta 2 w Bydgoszczy. *
* www.pedagogiczno-szkolna.pl *

Nagroda dla Malwiny

Nagrodę uczestników XIX Międzyszkolnych Regionalnych Warsztatów Dziennikarskich za publicystykę w POD WIATR nr 2 otrzymała **Malwina Kruś** z Bydgoszczy, autorka reportażu pt. „Życie za życie”.

Gratulujemy

POD WIATR społeczno-kulturalne czasopismo młodzieżowe. **Redagują:** Anna i Mirosław Twaróg (red. naczelny). **Sekretarz redakcji:** Katarzyna Twaróg. **Redaktor graficzno-techniczny:** Anna Faleńczyk. **Redaktor Witryny Literackiej:** Zygfryd Szukaj. **Adres korespondencyjny:** POD WIATR, 85-099 Bydgoszcz 23, skr. pocztowa 49, www.podwiatr.pl e-mail: podwiatr93@wp.pl wiatr@byd.top.pl **Z redakcją współpracują:** Maria Babyszka i Agata Bełka-Świtkowska (Osiek n. Notecią), Marta Jagieło (Bydgoszcz), Danuta Buryta-Armdt i Maria Mitek (Łobżenica), Dorota Misiak (Dąbrowa Chełmińska), Paulina Młyńska (Poznań), Radosław Sajna i Robert Sawicki (Bydgoszcz), Patryk Zakrzewski (Poznań), Monika Szumińska (Jastrzębie). **Współpracownicy zagraniczni:** Zygmunta Kowalski (Argentyna), Agata Kalinowska-Bouvy (Francja), Dorota Mabajia (Mozambik), Jarosław Moczarski (Kanada), Gosia Putteraj i Ewa Mahadea (Mauritius), Jerzy Skoryna (Meksyk), Andrzej Szwagrak (Boliwia), Jolanta Villarreal (Panama), Wanda Seliwanowska i Jan Zembruski (Rosja), Szymon Wybrański (USA). **Wydawca:** „Agencja Wydawniczo-Reklamowa MT” Mirosław Twaróg, 85-028 Bydgoszcz, ul. Żmudzka 5, tel. + 48 (052) 342 93 10. **Skład i łamanie:** Bydgoski Dom Wydawniczy MARGRAFSEN s.c., 85-808 Bydgoszcz, ul. Białogardzka 11A, tel. + 48 (052) 370 38 00, e-mail: biuro@margrafsen.pl <http://www.margrafsen.pl> **Druk:** ORTIS S.A. 85-171 Bydgoszcz, ul. Wojska Polskiego 1, tel. + 48 (052) 375 37 30, e-mail: ortis@ortis.com.pl http://www.ortis.com.pl/pl_kontakt.html Nakład 3200 egz. **REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ ZAMIESZCZONYCH REKLAM. ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ADIUSTACJI, SKRACANIA TEKSTÓW ORAZ ZMIANY TYTUŁÓW.**

18 lat POD WIATR – podróż sentymentalna

Ziemia obiecana

Wolno opadają bariery. Z łoskotem i ogromną prędkością przejechał kolejny ekspres. Która to już strona świata do zaliczenia – beze mnie? Tkwię na małej stacyjce i nawet nie śmiem pomyśleć o tym, że można być gdzieś dalej. A jednak tęsknię za odległą podróżą, za noclegiem na obcym dworcu i za dusznym, ciemnym przedziałem. Tymczasem pozostaje mi tylko zatapiać wzrok w obcych twarzach widocznych w oknach pociągów. A potem kolejny żal, że coś pędzi beze mnie.

Już tyle razy chciałam wsiąść do pociągu i pojechać tam, gdzie nikt mnie nie zna i ja nie znam nikogo. Chciałabym, by było to miejsce niezaznaczone na mapie, bez granic – puste i rozległe jak pustynia. Ten zew jest głębszy ode mnie, od moich uczuć i rozsądku. Zupełnie tak, jakby w moich żyłach wrzała cygańska krew.

Tkwię jednak nadal na tej małej stacyjce i czekam na pociąg jadący zaledwie kilka stacji. Rdzawe szyny biegną w różne strony. Jeden tor przy drugim w zupełnie różne kierunki.

Pociąg znowu będzie miał spóźnienie.

* * *

Była podróż w moim życiu, która stała się potem piosenką moją i poezją lekką. Wspominam ją i jestem pełna gotowości do dalszej drogi.

Celem podróży było Zakopane. Siedziałam na ławce na dworcu i nie mogłam doczekać się przyjazdu pociągu. Słońce z dojrzałej cytryny zaczęło przechodzić w dojrzałą pomarańczę. Schodziło coraz niżej i uderzając w ziemski glob, rozlewało się rozognionym blaskiem na niskim niebie. Przyciągało sobą łagodny chłód wieczoru, gromadząc w wielkim poruszeniu roztargnione komary.

Było cudownie, jak zawsze, gdy czuje się powiew lata, powiew przygód i nowych znajomości, słyszy echo piosenek śpiewanych przy iskrzącym ognisku.

Zapowiedziano nasz pociąg. Minęła godzina 21.50, gdy nadjechał; długi jak tęcza, co zespala sobą dwa końce świata. Wysypali się z niego ludzie pospiesznie i gwałtownie. Z koleżanką zaczęłyśmy szukać wolnych miejsc. Nic z tego. Pociąg wypełniali ludzie z ogromnymi stelażami, gitarami, śpiworami. Tylko przypadek zrządził, że znalazłyśmy miejsca tuż przy końcu pociągu.

Mijaliśmy zaspane miasta z odbitymi w pełni księżycy konturami kominów fabryk i dachami warsztatów. Mijaliśmy małe stacyjki z odbrapanymi, żółtymi ścianami, małe światła domów rzucone w otchłań i przestrzeń nocy. Mijaliśmy też inne pociągi uderzające w nas blaskiem sunących okien. Powłoki gęstych lasów zaciemniały nam całkowicie okna i jednoczyły się tą ciemnością z niebem. Powłoki pustych pól i łąk stwarzały obraz głębi, toni chłodu i deszczu.

Czułam się dobrze. Wiedziałam, że siedząc w tym przedziale, nie mamują żadnej chwili. Usnęliśmy przy małym i bladym świetle. Na korytarzu podróżni też spali owinięci w śpiwory i koce.

Gdy otworzyłam oczy – był już Kraków-Płaszów.

Zaczynało świtać. Świt wychodził zza pleców miasta i niby z piwnic jego starych kamienic. Ciemne chmury ustępowały jedynemu szeregiem jasnej wstędze. Nim słońce wzejdzie – będziemy w górach!

* * *

Wjechaliśmy w zielone doliny, wąwozy i kotliny, mając pod sobą potoki i Du-



najec. Małe, drewniane chałupki, czyste i zadbane, pełne ciepła, przez szpary nasyczone słońcem. Widać było pastwiska, łąki i rozległe pola u świtu jeszcze puste i nagie. Kępy siana wyróżnione jak garby nad rozkołysaną ziemią.

Otworzyłyśmy okno, by móc wdychać ostre i jakże świeże powietrze. Coraz bardziej zagłębialiśmy się w naszą ziemię obiecaną, w nasz podbity raj.

Pochłaniały nas jego głębokie doliny, ciasne wąwozy, gęste świerkowe lasy i jasne, dzikie niebo. Widziałyśmy, jak wstęgi mgieł jednym tchnieniem ulatują znad ziemi, kłaniają się jej i ocierają o nią. Była to mgła czysta jak kryształ, gęsta jak mleko i ciepła w swej powłoce. Ramionami swojego płaszcza strząsała z siebie rosę.

Wkrótce słońce złotymi promieniami zarzuciło swoje ramię w poprzek, przecinając las i wysokie paprocie. Przenicowało swój blask przez tysiące pni, krzewów, przez kopy siana, muskając małe okienka, w których zaczęły pokazywać się ludz-

kie twarze. Na pastwiskach – owieczki jak chmurki, co zstąpiły z nieba.

Na wąskich drózkach pojawili się ludzie z ciężkimi wózkami, kanami mleka, z bydłem. Świat Wysokiego Słońca podzielony dolinami. Bystre, czyste potoki rwące w swoim nurcie oszlifowane kamieniem. Wodospady spadające z łoskotem w czeluście kamieni i szpary między nimi. To wszystko witało nas z ukojeniem i nakazywało pokochać.

* * *

W podhalańskiej wiosce spędziliśmy siedem dni. Nasze okno wychodziło wprost na górski pejzaż – dumny, nieugięty. Skały ostro znaczyły swoje kształty. To z tamtej strony wschodziło słońce i mówiło nam – dzień dobry! Każdego ranka budziły nas delikatne dzwoneczki wplecione w kręciołki owieczek gnanych na wzgórzach. W wolnych chwilach chodziłyśmy nad potoki, by mocować się z własną niemocą i przechodzić na drugi brzeg po

śliskich, aczkolwiek ostrych kamieniach. Złodowaciała woda krzepiała naszą krew, która stygła w żyłach.

Nasza kapliczka cała była obłożona drewnem rzeźbionym i drążonym w proste wzorki. Tuż przy niej płynęło i szemrało źródło. To z niego wyławiałam kamyczki i białym dżbanem nabierałam kryształową wodę. I piłam ją.

Pamiętam dzień, gdy wybrałyśmy się na Płaszówkę. Szłyśmy wzdłuż wąską ścieżką, gęsto obsypaną kamieniami. Coraz wyżej i wyżej. Gdy przystanęłam – czułam pod sobą i słyszałam bijące tętno źródeł i potoków. Szumiały gwarnie i wesoło. Szalały wodospady, z obłędem rozbijając fale na tysiące kropel.

Gdy stałam oniemiała, ujrzałam w dole ciągnące się w nieskończoność gęste i zbrojne jak armia lasy. Rozciągnięte na halach pastwiska, drobne domki jak pudełka zapalek. I góry, góry, góry! Stały niewzruszone jedną ścianą. Odsłonięte bez reszty, unoszące ku niebu swoje ostre piersi. A wśród nich niezwykle i prawie nieprawdziwy zapach wody, suchego siana, poziomek i nieskażonej zieleni.

Niedaleko, w otoczeniu świerków, stała kapliczka z małymi okienkami i pochylonym, skrzydlatym dachem jak rozpięte skrzydła żurawia. Czułam, że Bóg chwytła mnie w swoje ramiona i z lekkością unosił ponad ziemię. Nie wiedziałam, jak dziękować Mu za to, jak okazać wdzięczność.

Gdy zaczęło się lekko ściemniać, wstęgi mgieł zaczęły wylaniać się z głuchych kotlin, a las szumiał równomierną pieśnią. Pomyślałam wtedy, że gdzieś musi być moje miejsce, że tutaj jest moje miejsce.

* * *

Kiedy wyjeżdżałam, czułam w sobie ulotność tej ogromnej radości, a pociąg stał się dla mnie pogrzebowym karawanem. Patrzyłam na doliny, potoki i niebo. Już nie z taką radością... W każdej niemal dolinie, w każdym potoku i w każdym skrawku tego nieba składałam pytanie: „Kiedy znowu tu powrócę?”. A kiedy wrócę – czy zastanę te same ścieżki, strumyk i nieugięty pejzaż? Kiedy wrócę, wiedząc, że nie muszę wracać?

Zerwałam się: głos zapowiadający spóźniony pociąg opucił mnie z minionych wrażeń. Wolno opadały bariery...

Agnieszka Kniwel I. 17

POD WIATR nr 4/1995

fol. Krzysztof Maciejewski (archiwum)

Zwierciadło świata

Jest późny wieczór, nie mogę spać. Wykładam z szafki wielki, zakurzony album ze zdjęciami. Zapalam lampę i poddaję się magii „opowieści zamkniętej w jednym kadrze”. Przeglądam czarno-białe zdjęcia, które przypominają mi o tym, co już minęło. Każde z nich ma osobną historię, jedno ciekawszą, drugie mniej. Przerzucam kartki albumu, wspominam i rozważam przyczyny, dla których tak bardzo pokochałam fotografię.

Gdy byłam małą dziewczynką, po powrocie ze szkoły rzucałam plecak w kącie i chwytając za aparat. Robiłam zdjęcia wszystkiemu, co się „napatoczyło” pod obiektyw. Rodzice denerwowali się na mnie, gdyż zamiast przyjść na obiad, goniłam kota sąsiadki, próbując ustawić go przed aparatem, lub fotografo-

wałam jakiś kwiatek. Po pewnym czasie zapisali mnie na zajęcia fotograficzne, gdzie do dziś rozwijam pasję. Codziennie po południu chodzę na spacer i zabieram ze sobą aparat fotograficzny. Pasja przerodziła się w sposób na życie.

Dowiedziałam się ostatnio, że są na świecie ludy, które wierzą, iż fotografia kradnie człowiekowi duszę. Nie pozwalają robić sobie zdjęć pod groźbą kłątwy szamana. Wciskając spust migawki, nigdy nie myślałam, że mogę pozbawić kogoś duszy, przecież fotografia sprawia, że człowiek staje się nieśmiertelny. Roland Barthes powiedział: „Fotograf musi strasznie walczyć, aby fotografia nie stała się śmiercią”. Poniekąd jest to prawda. Gdy życie sprawia nam ból, śmierć zabiera ludzi, których kochamy, zdjęcia pozostają... Po takim wydarzeniu zwiększa się ich wartość

sentymentalna. Fotografując, mam świadomość, że dzięki mnie pamięć o jakimś człowieku nigdy nie wygaśnie i na zawsze pozostanie on w sercach bliskich.

Zdjęcia sprawiają wiele przyjemności i zatrzymują ulotne chwile. Gdy po raz pierwszy fotografowałam moją małą kuzynkę, miała wtedy niewiele ponad rok. Z ciekawością wpatrywała się w obiektyw, przybliżyła się do niego, a po chwili gwałtownie oddalała. Jej mina zdradzała, iż zastanawia się, co to za dziwne urządzenie celuje prosto w nią wielkim, pojedynczym okiem. Wystawiała w jego kierunku palce, aby zbadać, z czym dokładnie ma do czynienia. Z czasem dziewczynka przekonała się i z chęcią pozowała do zdjęć.

ciąg dalszy na str. 4.



Radość wędkowania

Każdego roku część letniego wypoczynku pochłania mi relaks, który nie ma sobie równego. Łowią ryby. Ale nie o tym swoim hobby chciałem Wam napisać, lecz o historii wędkowania.

Może nie wszyscy wiedzą, że za ojca wędkowania uważa się pewnego angielskiego duchownego, niejakiego Isaaca Waltona, który żył w latach 1593–1683 i napisał... podręcznik wędkarstwa. Był na tyle dobry, że do naszych czasów w wielu krajach wydano, nie do wiary, ponad 650 edycji tego dzieła. Ale to nie Walton pierwszy napisał „podręcznik” o wędkarstwie. Wyprzedziła go... kobieta. Tak, tak, w tej męskiej dziedzinie niewiasta zagrała pierwsze skrzypce. Tym wędkarzenauczycielem w spódnicy, a raczej w habitcie, okazała się zakonnica Juliane Berners. W 1496 r. napisała traktat „O łowieniu ryb haczykiem”.

Powróćmy jednak do dzieła Waltona pt. „Wędkarz doskonały, czyli kontemplacyjny wypoczynek człowieka”. Jego filozofia sprowadza się do poglądu, iż wędkowanie jest RADOŚCIĄ z wypoczynku na łonie natury. Natomiast głównym WALOREM wędkowania jest obcowanie z naturą, do której łowiący ryby

powinien odnosić się z szacunkiem. Największą zaś PRZYJEMNOŚCIĄ – umiejętność obserwacji ryb, ich zwyczajów i wyrabianie w sobie niebywałej cierpliwości. Zdaniem Waltona, wędkowanie jest zarówno SZTUKĄ, jak i ukojeniem dla umysłu „uspokajającym wzburzone myśli i zwierzęce instynkty”.

Walton swoją ideę sformułował lapidarnie: „Dążcie do pokoju ducha”. Sądzę, że wielu wędkarzy, którzy nigdy nie słyszeli o Waltonie, zupełnie bezwiednie wypełnia jego piękny, wędkarski testament.

Kiedy dowiedziałem się o Waltonie i jego poglądach, doszedłem do wniosku, że warto mieć jakieś hobby i znaleźć w nim ideę, filozofię, coś takiego, co nadaje mu głębszy sens, oprócz samej zabawy czy rozrywki. A tak na marginesie – co by w swoich traktatach napisali czcigodna Juliane Berners lub czcigodny Isaac Walton, gdyby na przykład zobaczyli, jakim sposobem łowią ryby niektórzy kłusownicy lub, nie daj Boże, ujrzeliby przerażającą „czystość” naszych rzek i jezior?

Andrzej Kosowski I. 19
fot. archiwum

Zwierciadło świata

ciąg dalszy ze str. 3.

Uśmiechała się dumnie, prezentując przy tym swój jedyny ząb. Gdy oglądam fotografię, które wtedy zrobiłam, ogarnia mnie miłe uczucie na myśl, że kuzynka chociaż kiedyś urośnie – na zdjęciach wciąż będzie małą dziewczynką.

Gdy mam trochę wolnego czasu, udaję się na rozmaite wystawy fotograficzne. Staram się poświęcić na odczytywanie intencji autora zdjęć trochę dłuższą chwilę. Z doświadczenia wiem, iż fotograf stara się przedstawić za pomocą aparatu, światła i papieru jakąś historię. Czasem zdjęcie wyraża więcej niż słowa. Patrząc w ich głąb, staram się rozwikłać tajemnicę tamtego bytu. Rozważam szczęście, smutek i wszystkie losy sfotografowanych przedmiotów. Sądzę, że w każdym zdjęciu można doszukać się cząstki własnej duszy i historii. Urszula Czartoryska mawiała: „Fotografia jest nie tylko odbitką na papierze światłoczułym, jest także zwierciadłem świata, czasem krzywym, kiedy indziej wiernym, jest przedłużeniem w czasie ulotnego spojrzenia oka, jest narzędziem urabiania umysłów”.

Jako fotograf mam swój bardzo intymny stosunek do świata. Widzę

też znacznie więcej. Za pomocą obiektywu patrzę na świat i szukam niezwykłości w codziennym, rutynowym życiu. Nieświadomie robię w myślach zdjęcia. Zastanawiam się, jak dana rzecz, człowiek, miejsce wyglądałoby na fotografii. Idąc ulicą w szary, deszczowy dzień, mam wrażenie, że na każdym kroku mam do czynienia z czymś niezwykłym, godnym uwiecznienia. Może to być kot, starsza kobieta bądź nawet śruba wystająca z jakiejś ławki – liczy się perspektywa, z której się na nią patrzy.

Cieszę się z tego, iż fotografia staje się coraz bardziej popularna. Coraz częściej mam do czynienia z osobami, które mają podobne poglądy i ideały życiowe do moich. Gdy zaczynałam interesować się „uwiecznianiem chwili” – moje koleżanki zapisywały się na lekcje tańca, jazdy konnej lub gry na jakimś instrumencie. Ja odnalazłam sens życia w fotografii.

Na ostatniej stronie albumu znajduje się moje zdjęcie z dzieciństwa. Ukazuje moment, gdy siedzę z siostrą w ogrodzie u babci i śmiejemy się. Pamiętam tamtą sytuację. Już wiem, dlaczego Kocham fotografię – na zdjęciach nic się nie zmienia. Gaszę lampę, zamykam wielki, zakurzony album i odnoszę go na półkę. Jest późny wieczór. Czy teraz zasnę?

Tekst i zdjęcie: Anna Łobocka I. 15



„Cyganeria” okiem statysty



Opera Nova z lotu ptaka.

fol. Robert Sawicki

Był wieczór, znużony zajęciami szkolnymi zasiadłem w fotelu przed telewizorem. Nagle rozległ się dzwonek telefonu. Na wyświetlaczu aparatu pojawił się napis „Sześć”. Po odebraniu połączenia okazało się, że za tydzień muszę zjawić się w pracy.

Opera Nova w Bydgoszczy. Stawiłem się punktualnie z twórczą gotowością i ciekawością. Okazało się, że rozpoczęły się intensywne przygotowania do opery Giacomo Pucciniego „Cyganeria” w reżyserii Macieja Prusa. Spektakl miał pojawić się po trzydziestu latach nieobecności na bydgoskiej scenie, inaugurując XVIII Bydgoski Festiwal Operowy. Przedstawienie zostało uznane za priorytetowe – więc wszystko musiało być „dopięte na ostatni guzik”. Także mój udział w roli statysty. Nie pierwszy – statystowałem już w „Tosce”, „Nabucco”, „Lakmé”...

Przez ponad dwa tygodnie, dzień w dzień, rano i wieczorem, wszyscy musieliśmy pojawiać się na próbach. My – to znaczy: Borys – uczeń klasy maturalnej, Kuba – student prawa, Robert – pracownik maszyn energetycznych i ja. Mózg nie powtarzaliśmy każdą minutę z libretta, poznając je „w biegu”. Wszelkie błędy i niedociągnięcia wzbudzały ogromne emocje u reżysera. Inscenizator szybko rozbudował naszą rolę w taki sposób, że w drugim akcie my, statysci, nie mieliśmy chwili odpoczynku. Staliśmy przed ogromną szansą wykazania się, gdyż zwykle stoimy gdzieś na uboczu albo odgrywamy rolę w tle. W „Cyganerii” byliśmy cały czas widoczni na deskach teatru. Graliśmy kelnerów w restauracji.

Moje zadanie polegało na wejściu i sprawnym przejściu z jednej strony sceny na drugą, gdzie znajdowały się schody, na których stojąc, oczekiwałem na nadejście piwoszy. Musiałem zamaszystym ruchem rąk umiejętnie podać dwa kufle wypełnione piwem, uważając, aby nic nie rozlać albo, co gorsza, nie poślizgnąć się na wąskich schodach, po których ciężko było poruszać się. Następnie korzystając z ruchu scenicznego, wyprostowa-



Tadeusz Szlenkier – Rudolf, Magdalena Polkowska – Mimi, Łukasz Goliński – Marcello. Na drugim planie – statysci „kelnerzy”.

fol. Marek Chelminiak

nej postawy, rytmicznego chodu, miałem obowiązek przejść przez całą scenę i rozstawić stoliki i krzesła jak w zwykłej restauracji.

Kiedy do stolików przybyły eleganci, trzeba było je obsłużyć, podając menu, przecierając stoły białą chusteczką zaczeploną za bordową zapaską oraz odbierać zamówienia, używając dyskretnej gry aktorskiej i podręcznych rekwizytów takich jak ołówek i notesik. Następnie wnosiłem uprzednio zamówione dania. Po wykonaniu tej czynności oczekiwałem przy jednym ze stolików do momentu, kiedy na plan weszła wesola, pełna temperamentu Musetta. Wówczas powstawało zamieszanie. Musiałem, okazując zdziwienie, wpatrywać się w nią, śledzić każdy jej ruch Tymczasem przeszedłem na najwyższą kondygnację budowli, która stała na scenie. Przebywałem tam do czasu, aż na widownię weszła orkiestra wojskowa. Wtedy zbiegłem jak naj-

niżej i jak najbliżej się dało, kiwając w jej kierunku melonikiem. W tym momencie kurtyna opadła.

Próby zajmowały mi długie godziny. Wielokrotne powtarzanie tych samych sekwencji było męczące. Wracając do domu, musiałem odrabiać zaległe lekcje, gdyż często zamiast zasiadać w szkolnej ławce, przebywałem na deskach teatru. Administracja Opery wydawała pisemne prośby o usprawiedliwienie mojej nieobecności na zajęciach dydaktycznych – szkoła je uwzględniała. Nie miałem jednak czasu na relaks przed telewizorem. Nocne godziny wypełniało zagłębianie się w podręczniki, zeszyty i notatki. Uczyłem się bowiem do egzaminu maturalnego, który mam już za sobą.

Po wielu próbach nastąpiła długo oczekiwana chwila – premiera spektaklu. Widownia była wypełniona do ostatniego miejsca melomanami, znakomitościami życia politycznego, kulturalnego i gospo-

darczego. Słowem – nadszedł dla zespołu wielki dzień.

Przed rozpoczęciem sztuki wszyscy spotkaliśmy się w garderobie, gdzie czekały już na nas stylistki, które pomagały w odpowiednim założeniu przygotowanych wcześniej strojów. Kiedy już wszyscy zostali ubrani i ucharakteryzowani, czekaliśmy na zapowiedź inspicjentki – „Proszę przygotować się do drugiego aktu, panowie kelnerzy proszeni na scenę”. Wtedy była nasza chwila prawdy. Reagująca żywiołowo na występy artystów publiczność pozwoliła i nam, statystom, tej miłej prawdy posmakować.



Ewelina Szybińska jako Musetta.

fol. Marek Chelminiak

Większość osób traktuje swoją pracę jako obowiązek, jednak zawód statysty do takich zdecydowanie nie należy. Profesja ta, pomimo zarobku, który jest dla mnie mniej ważny, wnosi w moje życie wiele niezapomnianych doznań. Jest odskocznią od codzienności, atrakcyjnym spotkaniem ze sztuką. Kiedy po latach oddam się wspomnieniom, zapewne ich tłem będą także melodyjne arie pozwalające cieszyć się każdym dniem.

Jacek Roszak I. 20



Autor reportażu.

fol. archiwum



fol. Jarosław Pruss, „Gazeta Pomorska”

Czterech śmiałków wyjeżdża na tor. Ustawiają się przed taśmą, która nim błyskawicznie pofrunie w górę, rozgrzewa sprzęt do czerwoności. Silniki warkoczą, spalając olej. Zapewniają przy tym kibicom powszechnie znany zapach żużla.

Zawodnicy jadą cztery okrążenia. W przeciągu sześćdziesięciu sekund rozgrywa się cały bieg. Za każdym razem emocjonują się tak samo. Wyczuwam moment puszczania manetek*. Zamykam oczy. Co łuk, przy złożeniu* maszyn przez zawodników, całą otulają mnie odpryski żużlowej nawierzchni. Chyba stoję za blisko. Jestem brudna od stóp do głów. Nie przeszkadza mi to. Kończą bieg, a ja wciąż trwam w amoku nałukowych ślizgów.

Wracam do parku maszyn.

Stadion Polonii Bydgoszcz przy ulicy Sportowej 2. Kilka lat temu znalazłam się na nim zupełnie przypadkowo. To był ostatni dzień wakacji, gdy pierwszy raz ujrzałam mieniący się w słońcu motocykl, obmywany wodą pod ciśnieniem przez Damiana.

Patrzyłam na maszynę jak zahipnotyzowana. On chyba to zauważył.

– Zostań. Zapraszam na trening, może ci się spodoba – zaproponował.

Tamtego popołudnia nieprędko opuściłam bydgoski oval. Bez wahania wkroczyłam do czarnego, stadionowego świata. Koleżanki i koledzy uczęszczali na szkolne kółka zainteresowań. Ja zaś wpatrywałam się w kółka kręcące wokół toru. Były to moje zajęcia pozalekcyjne. Z biegiem czasu stadion Polonii stał się drugim domem. Pomagam mechanikom.

Niedziela. Za żółtą bramą parku maszyn mechaniczka Justyna nanosi drobne poprawki w motocyklach juniorów. Niewiele da się zrobić w trakcie rozrywki. Można jedynie „zasmarować na nowo” albo pojechać na innej maszynie. Często towarzyszy jej Karol, który chce wprawić się jak najlepiej w żużlowy fach. Szuka możliwości zdobycia doświadczenia. Dopiero od niedawna jest zawodnikiem.

Zapach speedwaya

Ciężka praca zaczyna się kilka godzin po meczu, gdy wraz z wyjściem ostatniego kibica zostaje zamknięta brama stadionu. Kapitan drużyny szybko przebiega się i dużym, czarnym bussem opuszcza stadion. Pozostali zawodnicy zdejmują kevlar* i ochraniacze. Stają się zwykłymi ludźmi w szarych bluzach i jeansach.

Wtedy zabieramy się za sprzęt. Rozkręcamy motocykle na części pierwsze, myjemy, przygotowujemy i składamy. To niczym dawanie nowego życia. Gdy odprężeni żartujemy i śmiejemy się, susząc sprężarką gogle, pojawia się trener Jacek Woźniak.

– Dziś twoim problemem były chyba małe dysze. Wymień je na większe – mówi do kogoś z żużłowców. Później odchodzi, po przyjrzeniu się badawczo poszczególnym etapom pracy. Maciej, kiedyś motocyklista, teraz pomocnik jednego z juniorów, przyglądając mi się znad motocykla, kręci z niedowierzaniem głową:

– Kobieta kochająca ten sport? Nadal nie mogę uwierzyć...

W ciągu kilku godzin w boksie przewijają się wszyscy.

Karol pojawia się również i po raz setny dzieli się historią zdania licencji „Z”**.

– Tor w Grudziądzu był wymagający, to nie to samo co kółka na naszym stadionie – wspomina, uśmiechając się do swoich myśli. Wciąż wraca do momentu, który był jego pierwszym, prawdziwym sprawdzianem umiejętności. Przeżywa go w szczegółach.

– Trzymałem gaz – obwieszcza z satysfakcją, wychodząc z boksu.

Nie wiem, jak to się dzieje, że mechanik, pan Wiciu, zawsze pojawia się w tej samej chwili. Teraz też elastycznym krokiem wchodzi do naszego azylu. Obdaro-

wuje uśmiechem. Pyta o jakąś małą ważną rzecz i wybiega. Obserwujemy tylko jego wiszące spodnie na szelkach, którymi manewruje tak, by nie zsunęły się do końca. Wracamy do pracy. Skupieni siedzimy nad sprzętłem. Moczymy tarce w pianie, by później potraktować je papierem ściernym, aż do błysku i gładkości. Do kartonów poukładanych na półkach już nie zaglądamy. Pukamy w jeden z nich. Szymon błyskawicznie stwierdza:

– Tu są podkładki sześciomilimetrowe.

Sztuka wizualizacji dźwięków jest u nas opanowana do perfekcji. Odpalając silnik, nadstawiamy ucha. Po chwili stwierdzamy, co jest nie tak, że w jego „melodii”, wyczuwa się dysonans. Najczęściej to kwestia dokręcenia koła lub naprężenia łańcucha.

Długie godziny na pracy mijają nam w miłym towarzystwie i na rozmowach. Włączamy telewizor, by obejrzeć, jakie błędy popełnili zawodnicy na torze kilka godzin wcześniej. Analizujemy wspólnie wielogodzinne transmisje. Giza nie lubi oglądać samego siebie. Jednak w ciągu maratonu meczów w telewizji internetowej Emil rzuca hasło: – Wypatrujemy błędów i pokażmy je trenerowi Sawinie. Może uda nam się coś poprawić.

Wtedy zastanawiam się, czy to właśnie sprawi, że staną się niepokonani?

Każda możliwość podszkolenia umiejętności jest na wagę zdrowia, życia... Za najmniejszy błąd lub nieuwagę można zapłacić wysoką cenę. W chwili minięcia bramy wjazdowej nikt już o tym nie myśli. Jesteś tylko ty i tor przed tobą. Masz do dyspozycji jedynie własne ciało i stalowego rumaka, który po latach jazdy jest częścią ciebie samego. Tę nierozzerwalną więź pokazujesz, zakładając linki na lewą rękę. To w razie wywrotki, która najczęściej przychodzi nieoczekiwanie. Sport żużlowy to sport dla twardej idących na całość, ale roztropnie, finyjnijnie w każdym ruchu, w każdym skręcie maszyna.

Od kiedy pamiętam, marzyłam, by TAK złączyć się z motocyklem. Po prostu przyjąć na stadion, usiąść na wyjętym z polerki osiemdziesięciokilogramowym rumaku i ruszyć przed siebie. Bez hamulców. Po bandzie. Sto kilometrów na godzinę. Tylko w dwóch kierunkach. Prosto i w lewo. Przez sześćdziesiąt sekund zapomnieć o świecie, o strachu. Poczucie wolności. Przez sześćdziesiąt sekund czerpać smak speedwaya całymimi garściami.

Swojego pierwszego kółka jeszcze nie „zakręciłam”, chociaż często czuję, jakbym „trzymała gaz” razem z nimi, ryce-rzami żużlowego toru. Na każdym meczu biorę duże hausty powietrza. Zaciągamy się zapachem czarnego sportu z całych sił. Czuję, że przez nozdrza przedostaje się głębiej. Wtedy już wiem, że mam go w sercu. Z całą pewnością jest we mnie.

Żaklin Szczypiorska I. 17

* manetka – mała dźwignia ręczna do sterowania gazem;

* złożenie maszyn – popularne zejście w luk; skręcenie kierownicą przez zawodnika;

* kevlar – materiał o dużej wytrzymałości używany do szycia kombinezonów żużlowych;

* licencja „Z” – licencja uprawniająca do jazdy w dorosłym speedwayu w klasie rozrywkowej



fol. Robert Sawicki

Lubię pisać

Trudna sprawa

Lubię pisać. Wszystko. Wiersze, reportaże, wywiady, listę zakupów. Po prostu lubię. Nie lubię chemii i biologii. Jestem typowym humanistą. Lubię humanistów.

W ostatnim czasie miałem problem. Nie lubię problemów. Szukałem weny. Chciałem napisać wiersz. Lubię wiersze. Sylabiczne, sylabotoniczne, wolne, białe... Aby napisać wiersz, należy znaleźć weny. Szukanie weny nie jest proste. Zaryzykuję stwierdzenie, że jest to trudna sprawa.



Znajdź temat

Chciałem napisać wiersz o młodych ludziach. Jestem młodym człowiekiem. Jestem świadomy swojej wartości. Po wybraniu tematu szukam weny. Jak znaleźć weny? Nie wiem. Wena przychodzi sama. I chwala jej za to!

Pierwsza wena – pomyśl o sobie. Pomyślałem. Odpada. Druga to pomyśl o innych. Też odpada. Czekam. Czekam. Czekam. Jem. Śpię. Czekam. Mam. Wena przyszła...Przypominam sobie pewną rozmowę. Napisać wiersz o picciu alkoholu przez młode osoby. Temat świetny. Szukam dalej.

Wewnętrzny głos

Jak zacząć wiersz? Trudne pytanie, prosta odpowiedź. Od wyrażenia. Najlepiej przyimkowego. Na niebie. Co na niebie? Na niebie słońce lub pada deszcz. Widzieliście kiedyś młodych ludzi pijących alkohol w deszczowy dzień?! Ja też nie. Na niebie słońce w zenicie. Pierwszy wers napisany. Zakończyć strofę chcę wyrażeniem *czy warto*.

Rymy krzyżowe są najlepsze! Szukam więc rymu do *warto*. Martą, kartą, zwartą...Rymy są dziwne. Z jednej strony pomagają w czytaniu wiersza, z drugiej – odwracają uwagę od jego przesła-

nia. Jakiś głos wewnętrzny mówi mi: *obdarta*. Tak, tak to wena.

Mam swą kurtkę obdarta. Trzy wersy mamy. Wygląda to tak:

*Na niebie słońce w zenicie
Mam swą kurtkę obdarta
X*

Y czy warto?

Szukamy x. Z zenicie rymuje się... życie, okrycie, obycie, obicie, skrycie. Co młody człowiek pijący alkohol może trzymać skrycie? Butelkę lub puszkę. Puszką lepsza. Trzymam puszkę skrycie. I myślę, czy warto?

Zmartwienie

Następne sześć strof – z drobnymi korektami – napisałem w podobny sposób. Oddają one dramat takiego człowieka i... reszty trzeba się domyśleć. Wena mi pomogła. Napisałem ten wiersz, aby podzielić się swoją sugestią dotyczącą egzystencji.

Martwię się. Nie o pijącą młodzież, lecz o świat. Coraz mniej słów. Coraz mniej wierszy. Coraz więcej bylejakości. Kiedyś był Leśmian, Gombrowicz, Tuwim.

Dzisiaj jest pustka. Bo który gimnazjalista będzie wiedział, kim jest Stanisław Barańczak czy Jerzy Podsiadło...?

Martwię się o to, że za dziesięć lat nikt nie będzie pisał wierszy. Ja też. Bo mi się znudzi. Bo nie rozumiem. Bo mi się nie chce. Wiersz umiera? Raczej – słowo umiera. Czytajmy wiersze. Piszmy więc wiersze. W dobie SMS-ów czy e-maili każde słowo jest na wagę złota.

Czas płynie i płynie, i płynie... A nam pozostaje to zapisać...

Poczekaj

Na niebie słońce w zenicie/Mam swą kurtkę obdarta.

Trzymam puszkę skrycie/I myślę, czy warto?

Pierwszy tyk był dziwny/Siedzimy grupą zwartą.

Stawałem się naiwny/Myślałem, czy warto?

Pierwszy buch był straszny/Rzuciłaś we mnie kartą.

Moment ten był ważny/Spytałem – czy warto?

*Z przyjaznych twarzy powstał mrok/Na niebie chmura czarna,
Wtopiłeś we mnie wzrok/Krzyknąłem: czy warto?!*

Zacząłem wycofywać się./Zacząłem kończyć z prostą grą.

Byłem jak w koszmarnym śnie./Nie warto, nie warto, nie warto...

Człowiek młody, człowiek głupi/Coś tam skradnie, coś tam kupi...

Często dużo nie rozumie./Pytania trudne stawiać umie

Czy warto robić głupoty?/Czy warto pić alkohole?

Czy warto słuchać miernoty?/Czy warto zamieniać role?

Nie warto, nie warto, nie warto...

*Kiedy więc wstaniesz z tą puszką otwartą/Skrycie spuścisz czujny wzrok
Łatwiejszy będzie pierwszy krok./Wyjdz z tego! Nie warto.*

Wojciech Kaczmarek I. 15
rys. Marta Jagieło

Filozofia dla Ciebie

Kim jestem? Skąd przychodzę? Dokąd zmierzam? Jaki jest sens ludzkiego życia? Odwieczne pytania, współcześnie aktualne. Chcesz o nich rozmawiać? Skorzysz z propozycji Pałacu Młodzieży w Bydgoszczy skierowanej do uczniów gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych, zapisując się do Małej Akademii Filozofii.

Akademia zachęci Cię do głębszego poznania siebie i drugiego człowieka, nauczy uczestnictwa w dialogu, prezentacji własnego stanowiska i jego obrony.

Pomoże znajdować odpowiedzi na pytania o sens ludzkiego istnienia, argumentować i prowadzić dyskusję, dostrzec zagadnienia filozoficzne w odkryciach naukowych, dziełach literackich, w sztuce i w religii. Pomoże uwierzyć w siebie.

Filozofia może stać się Twoją pasją, radością i receptą na samorealizację intelektualną.

Zgłoś swój udział w zajęciach Małej Akademii Filozofii. Zapisy przyjmuje Pałac Młodzieży od 1 do 14 września w godzinach 15–18.

Możesz zgłosić się również, pisząc e-mail na adres: akademiefilozofii@wp.pl Podaj imię, nazwisko, nazwę szkoły, klasę i numer telefonu.

Zajęcia prowadzi Katarzyna Twaróg – filozof, teolog i polonista.

Spotkanie z religią

Jak odpowiadać na trudne pytania, wie Szymon Hołownia, który odwiedził Dyskusyjny Klub Książki działający przy Miejskiej Bibliotece Publicznej w Tucholi. Uczestnicy spotkania dyskutowali m.in. o życiu po życiu, śmierci klinicznej oraz o tym, czy Bóg w istocie jest dobry i miłosierny, czy też mściwy i pamiętliwy. „Im więcej się o Nim dowiaduję, tym większy jeszcze mam głód poszukiwań” – mówił o Panu Bogu pan Szymon. Gość spotkania opowiadał też o wierze. „Warto zastanowić się nad najważniejszymi sprawami w naszym życiu. Kupując auto, zastanawiamy się przez kilka dni, gdzie korzystnie je ubezpieczyć. Przeglądamy oferty, kalkulujemy, gdzie będzie taniej i lepiej, a tymczasem do spowiedzi przystępujemy z marszu, bez większego przygotowania. (...) Nie dbamy należycie o nasze dusze i naszą wiarę”.

Dziennikarz i publicysta upominał zgromadzonych na spotkaniu, że nie należy uważać każdego złego wydarzenia, które nas dotyka, za Bożą zemstę. Mówił

też, że nie przyjechał po to, by nawracać zebranych, ale po to, by wyjaśnić pewne kwestie i porozmawiać o trudnych sprawach. Uświadamiał słuchaczom, że jeżeli teraz nie zaprzyjaźnią się z Jezusem, to po śmierci również tego nie dokonają.

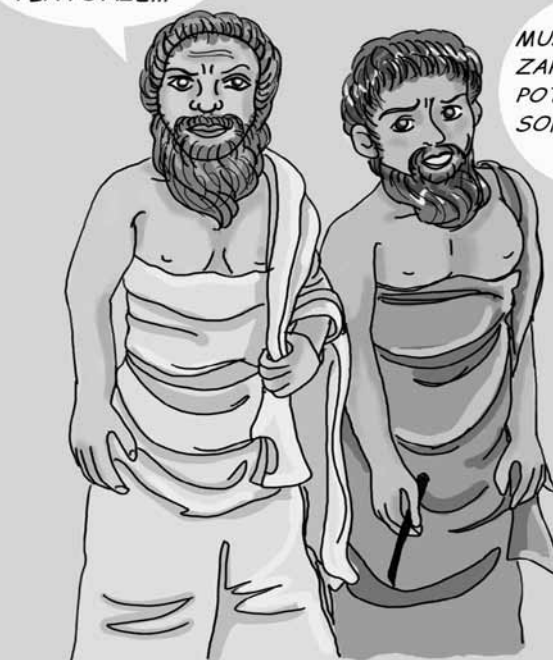
Szymon Hołownia jest autorem pięciu książek o tematyce religijnej: „Kościół dla średnio zaawansowanych”, „Tabletki z krzyżykiem”, „Ludzie na walizkach”, „Monopol na zbawienie” oraz „Bóg. Życie i twórczość”. Wszystkie te książki można było zakupić właśnie na spotkaniu, a po dyskusji pójść po autograf znanego dziennikarza.

Nie znałam Szymona Hołowni od tej religijnej strony, lecz tylko jako współprowadzącego z Marcinem Prokopem program „Mam talent”. To inne oblicze dziennikarza nieco mnie zaskoczyło i skłoniło do głębokiej refleksji. Po trwającej dwie godziny dyskusji czuję się zdecydowanie mądrzejsza o odpowiedzi na zadawane przez słuchaczy pytania.

Anna Okrzyńska I. 17

WIEM, ŻE NIC
NIE WIEM,
PLATONIE...

MUSZĘ TO
ZAPISAĆ DLA
POTOMNOŚCI,
SOKRATESIE...



SOKRATES

PLATON

rys. Marta Jagieło

Klomby Kazimierza Wielkiego

Nie da się nie przystanąć przy kiosku prasowym usytuowanym na placu Wolności w Bydgoszczy tuż obok zabytkowego kościoła, przy wejściu na główną aleję parku Kazimierza Wielkiego. Prowadzące go panie: Beata Przeclawska i Justyna Chęć, przy końcu kwietnia i na początku maja miały sporo klientów, którzy nie kupowali gazet, tylko przystawali. I z zaciekawieniem, niekiedy irytacją i pretensją, dopytywali: „Kiedy wreszcie park zostanie otwarty? Jak długo będą trwały roboty?”. Te indagowania niebawem przybrały na sile przed pierwszokomunijnymi uroczystościami, bo przejęci rodzice chcieli zapewne pochwalić się przed przyjezdnymi gośćmi oazą przepięknej i niezwyklej zieleni w samym centrum miasta. Może nawet przysiąc, wspólnie z zaproszonymi, na stylizowanych ławeczkach pośród klonów i dębów.

Panie Beata i Justyna dowiedziały się wtedy od pracowników zatrudnionych przy renowacji obiektu, że gdy w parku zjawia się przy klombach młodzi ludzie, to finał będzie już bardzo bliski. – Za tymi młodymi codziennie wypatrywałam – przyznaje pani Beata.

I już są. Młodzi ludzie przyszli z samego rana, w ciepły majowy dzień,

w środę. Roksana Lepert, uczennica III klasy Technikum Architektury Krajobrazu z Zespołu Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Bydgoszczy, wraz z koleżanką Olą i Szymonem Cierśniakowskim w większej grupie czekali w parku już dobrą godzinę przed umówionym terminem rozpoczęcia prac na klombach.

Tego dnia nie mogli dospać. Czekali niecierpliwie. Nie tylko na resztę uczniowskiego zespołu, na nauczycieli zawodu i wychowawców, ale głównie na możliwość tworzenia żywych, kwiatnych kompozycji, na bezpośrednie praktyczne doświadczenie sadzenia i ozdabiania ogólnie dostępnego parku. Takiego, co pół miasta w nim wypoczywa. Mieli wpraw-

dzie dotąd kilka godzin zajęć praktycznych w ogrodach i parkach w Żołędowie, Radogoszczy i Myślicinku, jednak wykonywali tam wyłącznie sezonowe prace pomocnicze. Teraz nadszedł ten oczekiwany moment decydowania i działania samodzielnie. Kształtowania według swego uznania architektury krajobrazu w jednym z najbardziej uczęszczanych i ulubionych miejsc w mieście. Wabiła ich ta niezwykła perspektywa.

Dzisiejsze prace to praktyczne ukoronowanie ich nauki. Tym samodzielnym ćwiczeniem kończą bowiem zajęcia zawodowe. Ostatni rok technikum to już przygotowanie do matury. Nie kryją emocji. Jak wypadnie ten egzamin? Będą nie tylko pod ostrzałem pedagogów, ale również obserwujących ich zaciekawionych i już komentujących bydgoszczan. Przede wszystkim jednak i to dla nich pierwszorzędne, sprawdzą siebie. – Od wyniku tego sprawdzianu zależy też moja decyzja o kontynuacji nauki na uczelni ochrony środowiska – nie ukrywa Szymon. Ich starsi poprzednicy, którzy rok temu ozdabiali klomby na skwerze Kopernika, na przeciw budynku Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, czasami zajądą z młodszymi w to miejsce i chwalą się swoim, w powszechnej opinii mieszkańców udanym, dziełem ogrodniczym. Bo jest czym.

Nie siedzieli więc młodzi, wyrwani ogrodnicy i nie czekali spokojnie przez tę wolną godzinę. Roksana zrywała się i biegła na główną aleję w głąb parku, żadna – jak jej koleżanki i koleżdy, szczegółów mających się niebawem zacząć robót na klombach, by za chwilę wracać do grupy z zdobytymi ważnymi wiadomościami. Komentowano je ze znanstwem, posługując się fachową terminologią i konfrontowano z poczynionymi uprzednio w szkole, pod kierunkiem nauczycieli przedmiotów zawodowych, teoretycznymi ustaleniami. W głębi, na alejce, stały w rzędzie palety z przygotowanymi do wysadzenia sadzonkami. Obok zaś narzędzia pracy.

Dziewczyny bezbłędnie rozpoznawały przywiezione kwiaty. Liczyły sadzonki. Dzieliły się fachowo i merytorycznie ob-



Jak głosi popularne powiedzenie „Pies jest najlepszym przyjacielem człowieka”. Wielu z nas posiada w domu takiego przyjaciela. Nie ważne, czy nasz pupil jest rasowy, czy nie, darzymy go ogromną sympatią, często traktując jak pełnoprawnego członka rodziny. Są jednak psy, którym tego szczęścia brakuje. Z różnych przyczyn tułają się bezdomne na ulicy, często skatowane i niechciane przez nikogo. Są jednak ludzie, którzy w takich sytuacjach przyciągają zbłąkane zwierzęta i otaczają opieką do czasu znalezienia dla nich nowego domu. Jednym z takich miejsc jest Schronisko dla Zwierząt na bydgoskiej Osowej Górze. To właśnie tam postanowiłam przyjrzeć się relacjom między człowiekiem a psem.

Na miejscu byłam już pół godziny przed otwarciem schroniska. Z bijącym sercem wsłuchiwałam się w donośne szczekanie, dobiegające z licznych boksów. Po krótkiej chwili podszedł do mnie starszy pan. Nieoczekiwanie zwierzył mi się z celu swojej wizyty w tym miejscu. Jego sąsiedzi

postanowili uknuć intrygę, której motywy było pozbycie się należącej do mojego rozmówcy młodej amstaffki. Pomimo że rasa słynie ze swej mało przyjaznej aury, suczka nigdy nie okazywała agresji w stosunku do człowieka. Mieszkańcy okolicznych domów usunęli fragment ogrodu tak, aby zwierzę mogło uciec. Następnie zadzwonili po straż miejską, która odwoziła psa do schroniska. Dzięki szybkiej interwencji właściciela czworonogi przyjaciel mógł wrócić do domu.

Chwilę później przykuł moją uwagę młody mężczyzna prowadzący na smyczy czarnego kundelka. Początkowo nieznamy nie wzbudził we mnie sympatii. Sądziłam bowiem, że znudzony odpowiedzialnością, jaka ciąży na właścicielach czworonożnych zwierzków, postanowił oddać go do schroniska. Po chwili pozbyłam się wątpliwości. Młodzieniec przysiadł na najbli-

Pokochaj kundelka



kiego

serwacjami i przypuszczeniami, jak się przyjmą. Ogród to ich realny świat. W paletach naliczyły cztery gatunki. – Mam takie same na swojej działce – zauważyła z satysfakcją Ola. To starzec popieliaty, aksamitka rozpięzchła wąskolistna, begonia stale kwitnąca i żeniszek meksykański. Martwiły się potem, czy ich starczy na klomby, przeliczały, mnożyły i dzieliły, oceniały, czy nie są czasami za mało rozwinięte, za słabe? Denerwowały się momentami samowolą nie-

nione dąsy. Nie szkodziła im nawet obawa o odpowiednie zabezpieczenie techniczne prac, przede wszystkim łopatkę ogrodniczą i strój umożliwiający prace ziemne. Łopatek okazało się jednak dosyć, a w ogrodnicze spodnie bez ceregieli przebierano się w pobliskim liceum. – Jestem pozytywnie nastawiony – ocenił Szymon – bo nauczę się czegoś nowego, sprawdzę teoretyczne wiadomości. Kręci mnie to.

Posiłki, nader liczne, z klas trzecich, dowodzone przez wychowawczynie – Monikę Grabowską i Milenę Kwaśniewską oraz nauczyciela przedmiotów zawodowych Jacka Sikorę, nadeszły na czas. Wszyscy, młodzież i jej przewodnicy, zgadzali się w jednym. To jest, bez



Sąd o twórczym charakterze ogrodowej pracy uwierzył Zbigniew Palicki z Kontbudu, firmy, która nadzoruje całość prac renowacyjnych. Specjaliści z Gdańska przygotowali im scenariusz pod hasłem *Zrób projekt i wybuduj*. A dziś młodzież, której pomoc pan Palicki mocno docenia, mówiąc: – Nie ma wykwalifikowanych ludzi do sadzenia, a ci to potrafia – przybyła z jeszcze jednym, własnym, scenariuszem i projektem pięknie wyrysowanym na kolorowo podczas zajęć szkolnych.

To teoretyczna podstawa do praktycznych działań na klombach. Jak sadić, w jakich odstępach, na jakiej głębokości, w jakiej linii? Oba projekty, jak się okazało – już w wykonaniu, musiały jednak ulec twórczej, koniecznej modernizacji. – Projekt projektem, jest niezbędny, ale zawsze realizujemy go z głową – opiniuje Monika Grabowska.

Projekt z Gdańska nie mógł przewidzieć, że pod warstwą zerwanego asfaltu, zaraz na zapleczu kościoła, uchwalała się na alejce, w większym fragmencie, przedwojenna kostka brukowa. To intrygująca i elektryzująca dziś wiadomość dla pracujących, obeznanych w dziejach parku, młodych ogrodników. Każdy od razu zauważył, że przedwojenna kostka inaczej się prezentuje, tak jakoś niezwykle i tajemniczo. Kostkę, oczywiście, poddano wcześniej starannej, pieczołowitej renowacji i zachowano zabytkowy fragment. Szkolny projekt z kolei nie

uwzględnił, że niektóre z dostarczonych przez firmę sadzonek będą, jak z dużą dozą subtelnej delikatności oceniła pani Grabowska, za młode. A zatem – parametry, głównie odstępów, ale także i głębokości, muszą ulec zmianie. Wiadomość, że młodzi uczniowie-ogrodnicy to dostrzegli, zaimponowała doświadczonym wyjadaczom z Kontbudu. Za młody, nomen omen, okazał się starzec popieliaty i dlatego wysadzano go w mniejszych odstępach. Ale że nic w przyrodzie nie ginie, zwłaszcza przyrodzie ogrodu, okazało się nagle, że i miejsca do sadzenia jest więcej. Chciano je więc zagospodarować żeniszkiem meksykańskim, lecz tej byliny, niestety, dostarczono akurat z głęboką dokładnością. Na szczęście aksamitka rozpięzchła i begonia stale kwitnąca uratowały sytuację. Młode głowy dobrze pracowały. Ogródnik też tak kraje, jak mu sadzonek staje.

Trzy największe i najpiękniejsze klomby parku obsadzone rękoma uczniów, młodych ogrodników, zaczynają swoje w pełni samodzielne życie. Park został otwarty. Na stylizowanych ławeczkach siedzą nie tylko matki z dziećmi. Po południu, akurat naprzeciw klombów, wśród młodych bydgoszczan spotkamy autorów pięknego ogrodniczego osiągnięcia, Roksanę, Olę i Szymona. Swoją własną historię jako ogrodnicy wpisali teraz w bogate dzieje zabytkowego parku.

Darek Sadurski I. 21
fot. archiwum szkoły



licznych mieszkańców miasta skracających sobie drogę przez świeżo zasiane i bardzo zieloniutkie trawniki. – Jak uczyć starszych i młodych troski o tak niezbędną dla życia, dla oddychania, dla zdrowia, dla piękna zieleni? – zastanawiała się głośno Rokšana. To temat, którego sobie w szkole, choćby na lekcjach wychowawczych, na pewno nie podarują. Z tych obserwacji i z tej dzisiejszej złości.

Ale perspektywa rychłego nasadzenia kwiatów na klombach i upiększania liczącego ponad trzysta lat śródmiejskiego parku przyćmiewała te zasad-

dwóch zdań, praca twórcza, ciekawa, ale bynajmniej niełatwa. Na usytuowanych na zielonym trawniku owalnych klombach młodzi ogrodnicy na kolanach przesyrywali glebę, nasypywali żyznej ziemi i sadzili, według uprzednio przygotowanego planu, na przemian, niebieskiego żeniszka meksykańskiego i czerwoną begonię – kontrastujące ze sobą kolorystycznie, ale podobne wysokością byliny. – W ogrodzie mogłabym pracować całymi dniami. Lubię to, lubię tworzyć w przyrodzie coś nowego – wyznaje Ola.

szym krawężniku i zaczął bawić się z psem, który biegał wokół niego, wesoło merdając ogonem. Z czarnego futerka wyraźnie wybijał się przywieszony do smyczy okrągły, zielony znaczek.

– Chce go adoptować – uświadomiła mnie przyjaciółka – zasada jest taka: zabierasz psa na weekend i kiedy już zdecydujesz się, wracasz do schroniska, aby wziąć go na zawsze.

Spojrzałam na stronę młodego mężczyzny. Uśmiech na jego twarzy i roześmiane oczy świadczyły, że kundelek właśnie znalazł właściciela, który zapewni mu prawdziwy dom.

W końcu otwarto bramę. Gromadka zgromadzonych przed nią ludzi rażno wkroczyła na teren schroniska. Udałam się w stronę boksów. Wolnym krokiem podchodziłam do każdego z nich. Zza bramki błagalnym wzrokiem spoglądały na mnie mniejsze i większe psiaki. W ułamku sekundy rozumiałam, co sprawia, że tak wielu młodych ludzi decyduje się na wolontariat. Te popiskujące, próbujące za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę zwierzaki są w stanie wzruszyć nawet największych twardzieli. W

moją stronę nieufnie podeszła suczka (na zdjęciu) o rudawej, lekko wypłowiałej sierści i smutnych oczach. Przyjaźnie wyciągnęłam rękę w jej kierunku. „Ruda” (bo tak została przeze mnie nazwana) koniecznie chciała polizać moją dłoń. Po chwili wyciągnęła łapkę zza krat i delikatnie podrapała mnie pazurkami.

– Mogłabym je wszystkie adoptować – usłyszałam.

– Cooo? – zapytałam zaskoczona, „Ruda” wzbudziła we mnie taką sympatię, że zapomniałam, po co tu się właściwie znalazłam.

– Mogłabym je wszystkie wziąć do domu – powtórzyła Ada, wskazując na mieszkańców boksów.

Łezki w jej oczach świadczyły, że naprawdę przejęła się wizytą w bydgoskim schronisku.

Pomimo że miała już w domu małego bologńczyka, gotowa była przyciągnąć jeszcze jednego bezpańskiego zwierzaka.

ciąg dalszy na str. 10.



Witryna Literacka



Młodzi ludzie, którzy utworzyli niedawno grupę literacką objętą merytoryczną opieką Stowarzyszenia Sympatyków Dziennikarstwa Młodzieżowego, za jeden z celów swojej aktywności, choć dość osobliwych w młodym wieku, ale przecież bardzo wartościowych, wyznaczyli sobie przypominanie pisarzy zapomnianych. Czy istnieją pisarze zapomniani w dobie internetu, dobrze inwentaryzujących

Kochana i zapomniana

osiągnięcia literackie dużych bibliotek, przy ogromnej liczbie publikacji bibliograficznych? Tę wątpliwość rozstrzygnąłem na tak, kiedy przypomniałem sobie postać Kujawianki, Panny Stefanii, czyli Stefanii Sempołowskiej. Ta niezwykła kobieta, żyła legenda dwudziestolecia międzywojennego, zawsze w kapeluszu ze strusimi piórami, sukni z trenem, poruszająca się wyłącznie dorożką, jest dziś, niestety, zapomniana. Także w internecie, w bibliotekach i w opracowaniach.

A błyszczała w życiu towarzyskim, społecznym, literackim, gościła na monarszych dworach, była przyjmowana z marszu, w stroju niedbałym, przez angielskiego króla, z atencją podejmowali ją też wodzowie proletariatu, Lenin i inni członkowie politbiura, kiedy to skutecznie interweniowała w sprawie uwolnienia jeńców wojennych po pierwszej wojnie światowej. Władze Polski przedwojennej szanowały ją i ceniły, a prezydent Warszawy Stefan Starzyński wymieniał z pisarką korespondencję. Uczestniczyła w bardzo wielu spotkaniach autorskich, bo kochano ją, czekano na nią i tych spotkań żądano. Przede wszystkim jednak redagowała wiele czasopism, napisała setki artykułów, prowadziła nowatorską pracę nauczycielską i zasłużyła się niezwykle jako opiekunka więźniów, co podkreśla jej płyta nagrobna na cmentarzu Powązkowskim z napisem: „Niestrudzona bojowniczką o prawa więźniów”. Nie mieściła się w żadnym schemacie, a pytana o życie osobiste odpowiadała z wrodzonym sobie dowcipem, że zamówienie społeczne czegoś takiego nie przewiduje.

Panna Stefania mogłaby być guru feministek, a nie jest. Mogłaby patronować szkolom, oświatowym reformom, a nawet mistykom i prorokom, bo w swoich dniach ostatnich, w styczniu roku 1944, przewidziała klęskę Niemców, ale dalsze losy świata definiowała jako niejasne i bolesne, co napawało ją, tak obcą tej osobowości, goryczą. Jest wreszcie Sempołowska, rozkochana w tradycjach narodowych, pisarką naprawdę zapomnianą, bo za jej życia w pismach literackich cykl opowiadań Panny Stefanii o rodzinnym dworku, obecnie nieosiągalny prawdziwy biały kruk, powszechnie, z niekłamany uznaniem, nazywano kujawskim „Panem Tadeuszem”.

I tak niewiele dziś o tym i o jej twórczości pamięta.

Zygfryd Szukaj

Zygfryd Szukaj – poeta, reportażysta, publicysta. Współzałożyciel grupy poetyckiej Parkan. Absolwent polonistyki na UMK w Toruniu. Nauczyciel języka polskiego w bydgoskich szkołach średnich. Swoje wiersze, recenzje, artykuły publicystyczne publikował m.in. w „Życiu Literackim”, „Nowym Wyrazie”, „Więzi”, „Kamienie”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Kierunkach”, „Pomorzu”, „Kujawach”, „Literach”, „Zdaniu”, „Promocjach Pomorskich”, „Gazecie Wyborczej”, „Zeszytach Naukowych UMK”. Interesuje się ruchem młodoliterackim, zagadnieniami oświaty i metodyki nauczania języka polskiego. Laureat konkursów literackich i reporterskich. Autor tomików poezji: „Powrót”, „Ślad zatrzymany w przelocie”, „Między czasem natychmiast”.

Amelia Bogdańska I. 17

* * *

idę ulicą
wracam do domu
znów zełgasz
a więc mrużę oczy
fundament dnia
obala zachód słońca
cóż mi po kolacji
zrobionej nieczystą ręką
napotykając
lodowe iskiery
w spojrzeniu
mój spokój runie
jak cisza przed burzą
którą przerywa deszcz

Komunikat jury konkursu radiowego

Jury konkursu radiowego ogłoszonego przez Polskie Radio Pomorza i Kujaw oraz Stowarzyszenia Sympatyków Dziennikarstwa Młodzieżowego *Chciałbym/chciałabym to usłyszeć*, w składzie Marek Rzepa – przewodniczący, Zygfryd Szukaj i Mirosław Twaróg – członkowie, wybrało do prezentacji na antenie rozgłośni **sluchowisko Jagody Gierwatowskiej „Za cieniem starego Joe”**.
Jury wyróżniło za autentyzm tematu i szczególne walory radiowe pracę Natalii Oukal „Zabiła go samotność”.

Joanna Zielińska I. 17

* * *

Pamiętam pewien wieczór.
Gdy mnie ujrzałeś, spuściłeś wzrok.
Było Ci głupio, że tak postąpiłeś.
Wyczytałam to w Twoich oczach,
Gdy przez moment patrzyłeś w moje.
Było Ci przykro, że tak postąpiłeś.
Wyznałeś mi miłość, a potem spotkałam
Cię z inną.

Mi też nie jest dobrze z myślą,
Ze nie ufamy sobie wzajemnie.
W końcu to była tylko
(choć może „aż”)
Twoja przyjaciółka.
Zachowujemy się czasem jak małe
dzieci.

Wiesz? Przepraszę Cię.
Podejdę, przytulę się i uroczo się
uśmiechnę.
A Ty bez słowa mnie pocałujesz...

Emilia Wolska I. 15

* * *

Kropla deszczu pożegnała się
z gałązką zeschłego drzewa,
zardzewiałą rynną.
Gdzieś wśród mgły
uwiktłana radość
mrok zastania jej twarz
zabiera ostatni tyk słońca
wypełnia po brzegi goryczą
obezwładnia chłodem
wiatr zagłusza ostatnie śpiewy ptaka
powiewa tylko biała chusta Demeter
żegnającej córkę

Jagoda Gierwatowska I. 17

Za cieniem starego Joe

Na podstawie książki „Dolina Szkieletów” Patricka Carmana.

Rayan – głos nastoletniego chłopca.

Stary Joe – lekko zachrypnięty głos starszego pana.

(W tle pojedyncze dźwięki pianina trwające do końca „wpisu” z 18 września)

18 września

Rayan: Pomyślałem – jestem martwy.

(Westchnięcie)

Mimo iż od tamtej nocy minęły dwa tygodnie... nadal nie przestają się bać. (Każdy wers czytany z krótkimi przerwami)

A Sara?

Tęsknię za nią.

Obwiniam ją.

Boję się o nią, ale też... boję się jej.

Chociaż w zasadzie nie mogę jej obwinać. Nie. To była moja dobrowolna decyzja.

To wszystko wina tej przeklętej maszyny... dragi.

To przez nasze obsesje, które się przyciągają. Ja potrzebuje dziennika – ona kamery.

Cała reszta się uzupełnia.

Moi rodzice... Często ostrzegali mnie przed nią.

Ale w końcu to moja przyjaciółka. Mimo próby zerwania kontaktu – czułem rosnącą potrzebę powiedzenia jej wszystkiego.

(Westchnięcie)

Bo tylko ona mnie zrozumie.

(Rozżalony głos)

I ten przeszywający ból w nodze.

Draga... coś z nią jest nie tak. Zaczęliśmy od szukania informacji na temat Starego Joe, któremu tryby maszyny zmiażdżyły nogę. Wpadł do stawu. Na samo dno. Kiedyś Sara sama poszła przez ciemny las, by trafić do tej przeklętej dragi. Miała kamerę. Nagranie wrzuciła do neta. Na początku słychać było nierówne kroki, jakby ktoś kuśtykał, szurając po podłodze sztywną nogą, a gdy w oknie mignęła szarobiała postać... Sara uciekła. Chociaż raz zrobiła coś mądrego.

To c o ś patrzyło wtedy na mnie.

Nadal mnie obserwuje.

Opisując wydarzenia z 4 września

(Głos jest zaniepokojony i przestraszony)

Noc.

(Słychać kroki, trzeszczenie drewna i głuche odgłosy leciutkich uderzeń w coś metalowego)

Wyczuwam czyjaś obecność, ale mimo to... przyglądam się zardzewiałym trybom.

(Słychać odgłos ciągnięcia czegoś po drewnianej podłodze)

ciąg dalszy na str. II.

Za cieniem starego Joe

ciąg dalszy ze str. I.

Staję na starej kładce, po której kiedyś chodził Stary Joe... Najpierw pojawiła się czyjaś dłoń. Z ciemności powoli zaczęła wylinać się mglista postać. Znalazłem się w potrzasku. Za plecami miałem tylko drewnianą barierkę.

(Cisza)

Nie mogłem wydusić z siebie ani słowa. Krzyk, wołanie o pomoc – nic z tego... Coś ścisła mi gardło... nie mogę wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Przerażony stoję i nie mam pojęcia, co zrobić, jak się zachować. Cofam się.

(Głośny odgłos pękającego drewna)

Stary Joe (Szeptem):

„Numer czterdzieści dwa jest mój. Będę cię miał na oku”.

Stara barierka pękła.

I nagle zjawa znika... Może tak naprawdę jej tam nie było?

Nie. Musiała być. Wyobraźnia nie płatałaby takich figli... To niemożliwe, by w jednej chwili nawiedziły mnie wszystkie moje koszmary.

(Łamanie desek, odgłos uderzenia, upadku ludzkiego ciała)

(Cisza)

(Dźwięk elektrokardiografu)

Rayan:

Gdy otworzyłem oczy, ogarnęła mnie jasność. Zobaczyłem mamę, która od razu zaczęła wołać lekarza. No tak. Leżałem w szpitalu, cały poobijany. Zaczęłem układać sobie w głowie, co się stało poprzedniej nocy.

(Zaplakany szept mamy)

Mama:

„Mogłeś zginąć”.

Rayan:

Mam założony gips. Bardzo gruby gips. Przez najbliższy czas jestem uziemiony. Tata utrzymuje, że Sara jest niebezpieczna i wciąga mnie znowu w jakieś kłopoty. Jednak im nie da się wszystkiego wytłumaczyć. Zresztą, gdybym to spróbował zrobić, prawdopodobnie doszliby do wniosku, że przy upadku moja głowa ucierpiała bardziej, niż się to było w rzeczywistości.

(Zdenerwowany głos)

Tata:

„Czy ktoś, kto cię prawie zabił, może być twoim najlepszym przyjacielem?”

25 września

(Odgłos poprawiania pościeli)

(Raz po raz słychać szelest przewracanych kartek)

Rayan:

Nadal jestem pod stałą kontrolą. Telefon, poczta, komputer. Jednak, mimo zakazu, mimo ograniczeń, nadal kontaktuję się z Sarą. To jedyna osoba, której mogę zaufać, która razem ze mną siedzi w tym bagnie. Ona zbiera informacje.

Mój tata zachowuje się dziwnie. W jego pokoju znajdują powiązania z dragą. Malutkie pudełeczko. Diagram i symbole alchemiczne. Przerażające hasła. Czuję... narażający strach. „Stowarzyszenie skrzyżowanych kości”. To jest to.

(Cisza)

Stary Joe (Szeptem):

Nie zmuszaj mnie, żebym po ciebie przyszedł.

28 września

(Ponownie słychać szelest kartek)

Rayan:

Znowu, znowu to samo. Mimo gipsu, odizolowania i w ogóle całego zamętu układam plan potajemnego wyjścia z domu i ponownego odwiedzenia dragi. Dlaczego? Dowiedziałem się, że Sara idzie tam tej nocy. Boję się. Kolejny raz... boję się. Przecież nie może iść tam sama! Czuję, że ta noc będzie straszna.

(Słychać szepty, kroki, trzeszczenie drewnianych desek)

Trudno mi się swobodnie poruszać. Moja noga nadal jest w gipsie. Powoli, próbując nie robić hałasu, podążam za Sarą, która wszystko nagrywa. Spojrzałem ukradkiem w prawo – te tryby, połamana barierka, numer czterdzieści dwa. Zatrzymałem się. Nogi odmówiły posłuszeństwa. Znowu to samo.

(Odgłos ciągnięcia czegoś po ziemi – do momentu „cisza”)

Sara zauważyła mój niepokój. Także słyszy odgłosy.

(Przyspieszone oddechy)

Ciągnie mnie pospiesznie za ramię.

(Szybkie stawianie podwójnych kroków)

Mimowolnie stawiam kroki... Chcę uciekać jak najszybciej, ale moje kończyny... buntują się. Mała kwadratowa dziura z wystającą drabiną w podłodze. Za plecami nadal słyszę kroki. Nie. To nie są kroki Sary. Ani moje. Ta dziura może posłużyć nam za schronienie. Wpadamy do niej.

(Cichy odgłos upadku)

(Ucichnięcie kroków Rayana i Sary, głośne oddechy)

(Narastający odgłos ciągnięcia czegoś po drewnie)

Ciemno. Zimno. Kroki są coraz głośniejsze. Słychać szurającą, zmiażdżoną nogę. Ktoś schodzi w dół.

(Wstrzymanie oddechów)

Nie wydajemy żadnego dźwięku, nawet wstrzymujemy oddech.

Białoszara postać o twarzy szkieletu z wielkim rybackim kapeluszem... zbliża się.

(Cisza)

Zatrzymała się! Stoi i patrzy.

(Oddalanie się odgłosu ciągnięcia czegoś po drewnie)

Powoli wycofuje się i zamyka drewnianą kłapę.

Jesteśmy uwięzieni.

(Cisza)

(Przerażony głos)

Sara wiedziała, że albo wrócimy cali i zdrowi do domów, albo zostaniemy tutaj. Żywi lub martwi... Ja też. Jednak tej drugiej opcji nie brałem na poważnie.

Stary Joe (Szeptem):

Czy jesteś alchemikiem?

Monika Kamińska I. 12

Skrzydłata przyroda

Skrzydłata przyroda
jest pogodna i młoda.

Skąd w lesie wiosną jazgot taki?

To z podróży wróciły kolorowe ptaki.

Tu dudek z czyżykiem

potrzęsa grzebykiem,

tam sroka z gałęzi zrywa się

z okrzykiem,

na pniu drzewa dzięcioł korę opukuje,

a w dziupli świerkowej sowa pohukuje.

Wszędzie słychać wokóło

rozgardiasz radosny.

To skrzydłata przyroda

cieszy się z nadejścia wiosny.



Katarzyna Kozłowska I. 17

Zbyt młodzi

Chce być moim natchnieniem
Czemu nie?

Stara się być blisko

Ja chcę jeszcze bliżej

Pragnę to czuć

w każdej minucie, godzinie

coraz bardziej i bardziej

Chcę ust, czułego dotyku

Delikatnych słów...

MIŁOŚCI

Nie wiem, jak nazwać

uczucie, jakim go darzę

Miłość – jeszcze nie

Za wcześniej na to

Przyjaźń – już dawno

to zauważyłam,

zauważyliśmy oboje

Zbyt nieśmiali by mówić

Za młodzi by czuć

Cóż musimy poczekać



Małgorzata Urbańska I. 21

My

Weszliśmy w świat,

my – ludzie

wyrośnięci z betonu,

Wśród sklepowych lad,

zgubiliśmy sens życia.

Porzucając moralność

przy wejściu,

strzepując płaszcz

z litości i współczucia.

Wyjałowieni wędrujemy

wśród półtek,

szukając dawno

sprzedanego towaru.

Aleksandra Słomińska I. 14

Cisza

Za oknem pustka...

Ni wiatr nie wieje,

Ni deszcz nie pada,

Cisza...

Wichrowe wzgórza

Ukołysała spokojna noc

Cisza...

Nie słychać szumu drzew,

Śpiewu ptaków.

Cisza...

Tylko mój głos

Unosi się wśród ciszy...

Śpiewa z nią i tańczy.



Wojciech Szablowski I. 18

Sen

Pytam się, co dla Ciebie znaczy sen.
 Chwilę zastanawiasz się.
 Zamykasz oczy.
 Nie myślisz – dusza to wie.
 Rozpalasz ogień własnych słów.
 Nie masz już żadnej kartki.
 Odpowiedz mi, czym dla Ciebie jest sen?
 Już nie patrz w głąb siebie.
 Podnieś głowę do góry i spójrz na mnie.
 Życie nie jest tym, czym myślisz.
 Wydaje się, że wciąż będziesz stał pod chmurami.
 Ale ja wiem, że słońce dla Ciebie wyjdzie.
 Deszcz z Twoich oczu wreszcie skończy się.
 Osuszysz łzy, nieograniczonym śmiechem.
 W oczach zabłyśnie iskra,
 która spalać smutek będzie.
 To nie jest sen – życie to wie.
 Niedługo i Ty tego dowiesz się.
 Nie myśl, że jest źle.
 Możesz wszystko zmienić.
 Pokaż jak tego chcesz.
 A wtedy przyjdzie ten sen,
 który w ogóle nim nie jest.
 Marzenie masz na biały dzień.
 Jeśli tego bardzo chcesz,
 już jutro odnajdziesz się.
 Zatrzymaj myśli spokojnie...
 Ukojenie jest bliżej niż myślisz.
 Zwolnij na chwilę,
 zdejmij z oczu ciemne okulary.
 Świat ma barwy...
 Zdobędziesz je szybciej,
 po prostu spójrz odwrotnie na wszystko.
 Pytam się, co znaczy dla Ciebie sen.
 Myślę, że już wiesz, że poczujesz ten sens.

Nowa siła

Patrząc w głąb siebie,
 widzę jak rozrasta się
 to, czego wcześniej nie miałem.
 Pokochałem, całym sobą.
 Wierzę, że cały świat
 łatwiejszy już jest.
 Jeden mały krok w przód
 w moim życiu – zmienił wszystko.
 Nie upadam, nie umiem tak.
 Podniosłem się – wysuszyłem brudne łzy.
 Teraz są już tylko te,
 które w swym smaku,
 niosą prawdziwe szczęście.
 Zostawiłem za sobą
 kilka dawnych nieistniejących
 wspomnień.
 Nie wracam do tego, co było.
 Nie mogę – już umiem nie chcieć.
 Zamknęłam to gdzieś tam,
 gdzie nawet moje myśli tego nie sięgają.
 Stanąłem w jednym miejscu,
 zwolniłem swoje tempo.
 Warto było – warto jest.
 Nie zmienię już niczego.
 Teraz już wiem, że
 tego właśnie chcę!

Z dziennikarstwa do pisarstwa

Ognisko prozy

Bogumił Drogorób.

Wśród dróg wiodących do literatury jest i taka: od dziennikarstwa do pisarstwa. Szczególnie popularna w USA, że wymienię wielkich noblistów Ernesta Hemingwaya, Johna Steinbecka czy Normana Mailera. W Polsce, z najwybitniejszych, tę drogę przeszli Ksawery Pruszyński i Ryszard Kapuściński, a ostatnio Piotr Kraśko. Co jest takiego w sztuce dziennikarskiej, że prowadzi wielu swoich znakomitych adeptów do literatury, a często nawet na same jej szczyty? Czytelnik trzeciej książki Bogumiła Drogoroba – repor-

Małgorzata Urbańska I. 21

Droga

On, ona, oni, wy, ja
 teraz, za chwilę, później
 wyjdziemy, pójdziemy, dojdziemy
 gdzieś, nigdzie, donikąd
 Zapłaczymy, uśmiechniemy się,
 zezłocimy się
 i zostaniemy, wrócimy, poddamy się
 żyjemy, przeżyjemy, dożyjemy
 na koniec, początek, w środku
 i tak po każdego przyjdą punktualnie.

tera i dziennikarza, dwukrotnego laureata Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Edwarda Stachury – nawiązującej do poetyki drogi, *Idąc*, zaintrygowany niezwykłą fabułą tekstów, gdy ochłonie z emocji, znajdzie na pewno odpowiedź na te pytanie. Opowiadań na ponad stu stronach jest tam dokładnie siedemnaście i każde stanowi rozwinięcie wcześniejszego dziennikarskiego zadania, reportażowego doświadczenia, pozostawiającego jednak w tropiącym autorze jakiś twórczy niedosyt. Dopiero, jak pokazuje autor, literacka proza stanowi satysfakcjonującą, na ten niedosyt, odpowiedź. Powiedzmy, że dla nadawcy jak i odbiorcy.

Jest więc pierwsza i najważniejsza cecha, którą wykazuje się Drogorób, przenosząc reporterską rzeczywistość w obręb literackiej kreacji. Uzyskuje w ten sposób efekt autentyczności, który jest podstawowym testem odróżniającym grafomanię od literatury. To droga odwrotna, jakiej na ogół podlegają pisarze, umieszczając fikcję w rzeczywistości i dopiero kreując jej autentyczność. Henryk Pokier, kiedyś dobrze zapowiadający się bokser, dziś żebrze. Romek Bezteczko, wesełny grajek, mógłby ze swego życia dać materiał do wielkiej powieści.

Szlabanowy na polu namiotowym, Flic Stefan, traci pracę, ponieważ boi się uzupełnić u dentysty garnitur zębów. Jedna historia, wpiers reportersko odmalowana przez Drogoroba, wzrusza, druga daje okazję do zadumy, a trzecia najwyraźniej rozśmiesza i bawi. W każdym jednak przypadku to faktografia reporterska staje się tworzywem przekonującej literackiej narracji.

Dziennikarskie szwy i fastrygi w prozie Drogoroba odnajdujemy przede wszystkim w doborze tematów, gdzie impulsem staje się ukazanie niezwykłości w zwykłości. Zamiar ten realizuje autor poprzez zwięzłość fabularną, trafność obserwacji i błyskotliwość refleksji. Dochodzi do tego plastyczność opisu, unikanie metafor i niechęć do wartościujących przymiotników. Dominantą jest dialog uwiarygodniający w istocie prostą, ale tak niemożliwą do podrobienia, do wymyślenia, fabułę. Nie ma retoryki, a czytelnik już po pierwszych stronach lektury zdaje sobie sprawę, że to świadectwo, a nie kreacja jest ogniskiem tej prozy.

Opowiadanie *Niemra*, w którym zasygnalizowany jest również problem nietolerancji, zaczyna się następującym, krótkim zdaniem wprowadzającym od razu w istotę rzeczy. *Irmina Mariańska, z domu Gorschke, ma dziś 65 lat*. Pozornie proste semantycznie zdanie zapowiada wszystkie wątki i problemy, które ujawnią się podczas czytania. Jakże wymowne jest choćby to zestawienie: *Mariańska*, nazwisko typowo polskie, i *Gorschke*. Dziennikarskie terminowanie pozwala celniej i trafniej odwołać się autorowi do mentalnych przeświadczeń czytelnika, antycypować jego reakcje. Niesie w sobie większy ładunek uniwersalizmu.

To tak jakby Drogorób wziął sobie do serca założenie Hemingwaya z pierwszych lat jego pisarstwa. Autor *Śniegów Kilimandżaro* marzył tylko o utrzymaniu w pisarskim fachu bardzo dziennikarskiej umiejętności. Napisać jedno najprawdziwsze, proste, orzekające zdanie, dotyczące czegoś, co się zna z osobistego doświadczenia, wokół którego będzie budowała się potem, przesączone przez fakty, narracja. Uważał, że w tym prawdziwym zdaniu tkwi siła kinetyczna, pokładał całą literacką wiarę w bezpośrednim przełożeniu tego, co widział, na to, co staje się fabularnym budulcem literatury.

Tekst reporterski jest z natury nietrwały i ulotny. Opublikowany w gazecie może nawet wzbudzić wśród aktualnych odbiorców ogromne czytelnicze zainteresowanie, wstrząsnąć, ale potem przecież ginie przyniesiony innymi, nowszymi. I żal, że tak się dzieje. *Idąc* to też na pewno efekt tego indywidualnego żalu świadka i nadawcy, dziennikarza. Autor *Idąc* zapragnął, by jego żywi, z krwi i kości bohaterowie, jego świat naoczny nadal istniał, nie zginął. I ta twórcza potrzeba również sprawiła, że dziennikarstwo połączył z pisarstwem.

Zygfryd Szukaj

Drogorób Bogumił, *Idąc*, Bydgoszcz 2009

Remigiusz Rogożeński I. 15

Życie

*Dar, jakich mało, ożywił twoje ciało
Daje ci siły i czas, byś dłużej był
wśród nas
Delikatne jak kryształy, poświęć mu
się cały
I nie trwoń go na bzdury, bo dano ci
je z góry
Dla życia zrobisz wiele, poświęć mu
nawet niedziele
A kiedy życie się skończy, ślesz za nim
list gończy
A gdy chyli się do końca, ty podążasz
w stronę słońca
Odcodząc zostaw serce, gdzie trzeba
Będzie ci lepiej trafić do nieba...*



foto. Robert Sawicki

Szczęście wychodzące z duszy

Władza

Z początku zwykle życie, ten sam mężczyzna, wiodący spokojnie przemijające lata wraz z żoną, niemający żadnych poważnych problemów. Pewnego dnia jednak ta harmonia się zaburza i człowiek staje się inny.

Gdy mamy władzę w zasięgu ręki, chęć skorzystania z niej jest tak silna, że mogłaby doprowadzić do zamordowania bliskiej osoby w rodzinie, nawet jeśli jest się królem. Marzenie o władaniu państwem czy ludźmi staje się głównym powodem sensu istnienia, doprowadzając do zbrodni – tak, jak to pokazał Szekspir, ojciec tragedii, w utworze *Makbet*.

Prawdopodobnie bohater nie był zadowolony ze swojej decyzji. Możliwe, że wyobrażał sobie inaczej zaistniałą sytuację, nie uświadamiając sobie jej konsekwencji. Może morderstwo nie było konieczne? A jeśli władza nie daje szczęścia? A może są przypadki, gdy jest w stanie je dać?

Pieniądze

Pragnąc czegoś, dążymy do realizacji marzeń, licząc, że przyniesie nam to szczęście. Pieniądze są jednym z tych pragnień, które chcemy zaspokoić. Nie ma chyba osoby na świecie, której by choć raz przez myśl nie przeszło takie stwierdzenie: „Gdybym był bogaty, to moje życie byłoby inne, byłbym szczęśliwy”. A jak to wygląda w rzeczywistości?

Przypuśćmy masz „te” pieniądze, i to w niemałej kwocie, dają Tobie jak i rodzinie szczęście, jednak czy nic nie mogłoby zaburzyć tej równowagi? Nie sądzisz, że życie byłoby zbyt piękne? Wszystko układa się przyjemnie, ślicznie do czasu, do tej chwili, która diametralnie zmienia życie. Taką było właśnie wproszczenie się Tartuffe’a do prywatnego świata Orgona. Świętoszek znając wielkość majątku gospodarza domu i wiedząc, jak ceni religijność, przeistacza się w dewotę przesadnie manifestując swoją wiarę. W tym przypadku robi to przede wszystkim dla pieniędzy. Orgon, będąc osobą łatwowierną, obdarza Tartuffe’a zaufaniem i wielkim uznaniem, oraz stawia

go ponad rodzinę. To właśnie jemu oddaje cały swój majątek i na jego korzyść wyrzeka się i wyrzuca z domu swojego syna. Świętoszek wykorzystuje to i pragnie posunąć się dalej – zyskać względy jego żony Elmiry, lecz ona przebiegle ujawnia przed mężem prawdziwe oblicze Świętoszka. Gdy Orgon przegląda na oczy – Tartuffe wyklada karty na stół i tego samego dnia pozbawia go dachu nad głową.

Co prawda historia kończy się dobrze – Tartuffe’a zatrzymuje policja, Orgon wszystko odzyskuje, lecz jakim kosztem? Czy było warto? Dziwne, kiedy stajemy się bogaci, wszyscy, którzy wcześniej nie zwracali na nas uwagi, udają, że im bardzo zależy na związku z nami. Może by do tej hipokryzji nie doszło, gdyby nie majątek? Czy naprawdę pieniądze są potrzebne w życiu do czegoś więcej poza zaspokajaniem potrzeb biologicznych? Dzisiejszy świat oparty jest tylko na fortunie. Czy inaczej nie można osiągnąć szczęścia? Zapewne można, ale posiadając pieniądze, niekiedy skupiamy się tylko na nich, zapominając o najbliższych.

Pretekst do dawania szczęścia innym

Z pozoru początek zapowiada się dobrze. Somalijska dziewczyna, Waris Dirie, pojawia się z niewiadomych przyczyn w Londynie. Poznaje Marylin, która odmienia jej życie i pomaga stanąć na nogi. Waris zostaje sławną modelką, lecz to jej nie wystarcza.

Pewnego dnia historię swojego dzieciństwa opowiada przyjaciółce Marylin. Okazuje się, że somalijska dziewczyna w wieku trzech lat została poddana obrzezaniu, a siedem lat później sprzedana człowiekowi, za którego miała wyjść za mąż, i wtedy udało się jej uciec i zrobić karierę na arenie międzynarodowej.

Czym dla niej był zawód modelki? Pretekstem do wyjawienia światu, jaka krzywda dzieje się każdego dnia, gdy temu okrutnemu zabiegowi jest poddawanych tysiące małych dziewczynek. Waris została gubernatorem. Do dziś broni praw kobiet.

Czy zawsze kariera zawodowa daje możliwość obdarowywania szczęściem innych? Niekiedy zdarzają się sytuacje, kiedy skupiając się na karierze, tracimy bliskich.

Na pograniczu

Uciekł w inne miejsce, z dala od ludzi, bo nikt nie mógł zrozumieć jego twórczości. Pewnego dnia poznał tę, która wypełniała jego duszę. Na swoje nieszczęście zakochał się w niej do szaleństwa, lecz ona nie mogła przyjąć jego miłości, ponieważ była już zaręczona. Nie mogąc wyobrazić sobie życia bez niej, bohater popełnia samobójstwo – historia niespełnionej miłości Wertera do Lotty.

Czy miłość oparta jest jedynie na cierpieniu? Czy zawsze jest niespełniona? A może istnieje miłość odwzajemniona, która na dobre potrafi odmienić życie? Możliwe, że zdarzają się i takie.

Do refleksji nakłania historia pewnej dziewczyny, która jako sierota trafia na Zielone Wzgórze. Samotna, niemająca nikogo ruda dziewczynka. Przygarniają ją państwo Cuthbert i od tego momentu odmienia się jej życie. Poznaje Gilberta, który zakochuje się w niej od pierwszego wejrzenia, walcząc o jej względy tzw. „końskimi zalotami”, lecz ona za każdym razem go odrzuca. Pewnego dnia przegląda na oczy. Gdy chłopak zapada na ciężką chorobę, rozumie, że zależy jej na nim. Gil wyzdrowiał i wziął ślub z Anią. Nadszedł rok 1914, rozpoczęła się I wojna światowa, Gilbert, lekarz, chciał ratować ludzi, więc wyjechał na front. Ania zaczęła go szukać, będąc sanitariuszką. Na wojnie oboje, o mały włos, nie rozstali się z życiem, lecz przetrwali i żyli długo i szczęśliwie.

A zatem – istnieje jednak miłość odwzajemniona, która pozwala dostrzec sens istnienia? Choć wymaga obustronnego poświęcenia, jest tego warta. W niektórych przypadkach miłość staje się ucieczką od codzienności, od problemów, jako jedyny sposób egzystencji. Która miłość jest lepsza: między Werterem a Lottą czy Gilbertem a Anią – to pytanie zadajemy sobie codziennie na lekcjach.

Katarzyna Brzoskowska I. 17

POCZTYLION LITERACKI



Dorota C., Bydgoszcz

– Napisałaś do mnie jedno zdanie, parę zdawkowych słów, w którym prosisz o ocenę nadesłanego jednego króciutkiego wiersza. Przeczytałem i mówić nie bardzo jest o czym, bo brak podstaw. Może należałoby przedstawić się trochę szerzej, podać typ szkoły, zainteresowania, lektury, no i konieczny u nas wiek autorki. To wszystko na pewno pomaga w trafniejszym opiniowaniu materiału literackiego. A tak, przypomnę tylko mądre polskie przysłowie: „Pierwsze koty za płoty” i poproszę o obszerniejszy wybór tekstów do obszerniejszej i miarodajnej lektury.

Adrian K., Bydgoszcz

– Twoje wiersze doskonale nadałyby się do wokalu przy gitarze. Krótka, zwięzła fraza, sentencjonalne treści, liczne powtórzenia. Dobrze się czyta. Jeszcze lepiej śpiewa. To nie jest zarzut, pewnie sam zdajesz sobie sprawę z zamierzonej muzyczności tego, co piszesz. Przypominasz w tym Stachurę, ale ten kultowy twórca wyraźnie rozdzielał, co do śpiewania, co do liryki na papier, do lektury tylko. Rzadko łączył te dwie opcje. Zachęcam do pójścia tym tropem i przesłania nowych wierszy. Utwór *Małe kosmosy* zatrzymuję do druku.

Dominika G., Nakło

– Spory wybór wierszy poprzedzony naprawdę poetyckim, pięknym listem. Nawiążę do poprzedniej odpowiedzi i zacytuję Stachurę, *wszystko jest poezją* dla Ciebie. Chociaż gdybym miał wskazać literackiego patrona, to postawiłbym na ks. Jana Twardowskiego. Dobry kierunek. Plusem Twoich tekstów jest ich lapidarność, zaskakujące pointy i wszechstronność tematyczna. Jest *szpak na drzewie czereśniowym*, *cisza wiejskiego cmentarzyka* i *mroczne zaułki sennej wyobraźni*. Te trzy teksty odłożyłem do druku. Na koniec drobny minusik! Teksty nawiązujące do filozofów starożytności nie przekonują. Dlaczego? Zbyt upraszczają. Można je sobie darować.

Zygfryd Szukaj
lystopad@neostrada.pl

Pokochaj kundelka

ciąg dalszy ze str. 8-9.

– Ja też – głośno pomyślałam.

Niestety, niemożliwe jest adoptowanie kilkudziesięciu czy kilkunastu zwierząt, nawet gdyby miało się ogromne serce. Jednakże są inne możliwości pomocy.

Pierwsze, co przyszło mi na myśl to wolontariat.

Wśród wędrujących po schronisku osób dostrzegłam dwie dziewczyny – najprawdopodobniej w moim wieku – zaabsorbowane pracą w pobliskim boksie. Jedna z nich, Małgosia, poinformowała mnie, że pozostali wolontariusze pojechali w plener, aby zaprezentować mieszkańcom miasta podopiecznych schroniska. Zainteresowana opieką nad zwierzętami postanowiłam wybadać, na czym polega wolontariat.

Jak się okazało, na terenie bydgoskiej placówki działa Klub Przyjaciół Schroniska. Zrzesza prawie stu wolontariuszy. Są między nimi osoby młodsze i starsze. Wśród nich można znaleźć również tzw. wolontariuszy skazanych, czyli więźniów, którzy część swojej kary spędzają na pomaganiu znajdującym się tutaj czworonogom.

Praca wolontariuszy polega głównie na opiece nad zwierzętami. Wyposażeni w gumowe rękawice i środki dezynfekujące sprzątają boksy, karmią, czeszą i wyprowadzają zwierzęta na spacer. Jednakże ich praca nie sprowadza się jedynie do tak prozaicznych czynności. Zadaniem Klubu Przyjaciół Schroniska jest również ratowanie zwierzątkom życia, zapewnienie im ciepła i przywrócenie nadziei w ludzką dobroć. Z nieustającym zapałem angażują się w liczne akcje charytatywne, każdą wolną chwilę poświęcają na znalezienie nowego domu dla podopiecznych schroniska. I pomimo że nie otrzymują za swoją pracę żadnego wynagrodzenia, czują ogromną satysfakcję i radość, że zapewnili kolejnym zwierzątkom nowe, lepsze życie.

Dyrektorem schroniska i prezesem kujawsko-pomorskiego oddziału „Animalsów” jest pani Izabela Szolginia (na zdj. na stronie 8 z jednym ze swoich pupilów). Prywatnie – właścicielka



foto. Robert Sawicki

olbrzymiego charta irlandzkiego Illana. Pani dyrektor wie wszystko o relacjach pomiędzy człowiekiem a psem. Gdyby nie jej inicjatywa, kreatywność i nieustająca od wielu lat zapał, wiele zwierząt z pewnością nie odnalazłoby nowej, kochającej rodziny. Postanowiłam porozmawiać o jej pracy i pasji.

Od czego się zaczęło?

– Zaczęło się od obrazków – wspomina pani Szolginia. – Już w czwartej klasie szkoły podstawowej miałam zacięcie do rysowania. Przeglądając je dzisiaj, widzę, że na każdym z nich jest pies. Po maturze postanowiłam studiować zootechnikę – bardzo kocham zwierzęta. Kiedy w ogrodzie błąkały się bezpieczne psy, wyносиłam chleb i karmiłam – najpierw Nera, potem Rudego. Kiedyś przywiozłam do domu na sankach zamrożonego kundelka. Miał morelowe włosy i bryły lodu przyklepione do łap. Niestety, był tak wymarznęty, że mimo natychmiastowego zastrzyku zmarł na moich rękach. Po studiach pracowałam dziesięć lat w instytucie we-

teryarii, w zakładzie badania chorób niedoborowych u krów. Nie lubiłam tej pracy, bo nie było tam kontaktu z ludźmi, a do samych krów jeździło się bardzo rzadko i na krótko. Potem otrzymałam propozycję pracy w schronisku. Jaki był początek?

– Gdy przyszłam tutaj, włosy stanęły mi dęba. Zdecydowałam się jednakże tym zwierzętom pomóc i zaprowadzić porządek przez co najmniej trzy lata. Po dwudziestu latach pracy mamy taki oto obrazek. Energii wystarczy mi jeszcze na następne dziesięć, a może i dwadzieścia lat. Nie mam zamiaru zostawiać tego, co udało mi się osiągnąć – przebywam z ludźmi, którzy zaczynają rozumieć zwierzęta. Oprócz tego mam za sobą kurs COUPE. Powiedziano mi, że po jego ukończeniu będę bardziej smutna. I tak się stało. Widzę, że zwierzęta w schronisku, pomimo że mają jedzenie, picie i dobrą opiekę weterynaryjną, są smutne, gdyż każde z nich musi mieć swojego ludzkiego właściciela. Nie wystarczy im zabawa ze sobą.

Skąd biorą się pomysły na akcje organizowane przez schronisko?

– Organizowane przez nas akcje zaczęłam wymyślać intuicyjnie. Nie tylko ja, ale również inne osoby, z czego się bardzo cieszę. Osobiście opracowałam akcję „Weź mnie na wakacje”. Jest to tak zwana adopcja czasowa. Na pomysł wirtualnej adopcji już dawno wpadł ktoś mądry. „Lira” (program szkolenia psów schroniskowych, mający na celu m.in. budowanie pozytywnego kontaktu pies-człowiek, opartego na współpracy – przyp. aut.) to program wymyślony przez pana Jacka Gałuszkę. Oprócz tego – kontynuuje dyrektor Szolginia – mniej więcej tydzień po zakończeniu wakacji organizujemy wystawę psów wielorasowych w muszli koncertowej w jednym z bydgoskich parków. Bierzemy również udział w akcji „Zerwijmy łańcuchy”. Mamy inspektorat do spraw zwierząt. Jeździmy w teren, wynajdując i zarazem piętnując przejawy okrucieństwa w stosunku do nich. Niektóre z wolontariuszek nauczone są sztuk walki, żeby były rolnik nie polecał na nie z widłami – śmieje się pani dyrektor, przez wielu bydgoszczan różnych pokoleń nazywana „dobrym duchem” schroniska.

Wizyta w schronisku dała mi wiele do myślenia. Widok tylu bezpiecznych zwierząt sprawił, że coraz poważniej zastanawiam się nad zaangażowaniem w działalność placówki. Czy to przez wolontariat, czy przez wirtualną adopcję, polegającą na regularnym wpłaceniu datków na wybranego pieska. Kto wie? Może już w lipcu, w ramach akcji „Weź mnie na wakacje”, w moim domu pojawi się na jakiś czas czworonożny przyjaciel. Może nawet zostanie na dłużej. Bo – jak podsumowała pani dyrektor – program jest pewnym podstępem – tylko jedno z czterech „tymczasowo zaadoptowanych” zwierząt wróciło z powrotem do schroniska.

Każdy z nas może zrobić coś dobrego dla czworonoga. Poprzez budowanie wspólnych relacji sprawia mi, że zwierzę darzy nas zaufaniem i z pewnością widzi w naszej osobie swojego przyjaciela... Nasi młodszy bracia – jak nazywał zwierzęta św. Franciszek – potrzebują od nas przyjaźni. Z wzajemnością – my też potrzebujemy jej od nich.

Tekst i zdjęcia: Nicole Piotrowska I. 16

Pod słomkowym kapeluszem

Wyobrażam sobie taki dzień, w którym czarna chmura popiołu, spalin i wycieków milionów wysypisk śmieci zagrozi drogę promieniom słońca. To będzie epilog. Przedtem lody Arktyki roztopią się w wielkie fale zalewające kontynenty, górskie grzbiety spłyną rwącymi potokami, w konwulsjach zatrząsę się Ziemia, a wieżowce runą jak domki z kart. Ustaną – gwar na ulicach, szepłt czułych słówek i wzniosłe mowy polityków. Tu i ówdzie wzniosą się ku zgastemu niebu opary śmieci nuklearnych ukrytych w specjalnych silosach.

Ci z rodzaju ludzkiego, co jeszcze na krótki czas i na swoje nieszczęście ocaleją – przeklną siebie i swoich bliźnich za to, że zgotowali Ziemi okrutny los. Niektórzy będą siedzieć w betonowych bunkrach luksusowych rezydencji, liczyć minuty i płakać nad paprotką ocalałą w doniczce. Może jakiś biegły w rzemiośle kronikarz zdąży zapisać w pamiętniku, że w takim a takim roku cywilizacji, która umysł ludzki wzniosła na niespotykane wyżyny, mieszkańcy globu nazywanego Ziemią, ulegli zagładzie. Poprzedziła ją szaleńcza rywalizacja o to, kto naturze zada większe cierpienia.

Często oglądam w telewizji programy przyrodnicze. Filmy o konaniu lasów, wymieraniu gatunków zwierząt, roślin, zatruwaniu rzek, strumyków i morskich głębin, zaśmiecaniu górskich szlaków, trzębieniu dżungli, uśmiercaniu niedźwiedzi, słoni i wielorybów. Iloma sumieniami wstrząsnęły te filmy? W ilu umysłach wyzwołyły refleksję i chęć bezinteresownego służenia naturze?

W pogoni za zyskiem wielu potężnych i bogatych tego świata gotowych jest zamknąć się w sterylizowanych klatkach lub pół życia spędzać w masce z tlenem albo dać się wystrzelić w kosmos i tam przeczekać najgor-

sze, niż zaprzętać sobie głowę ziemskim dylematem. Zostawiają maluczkim zmartwienie o zdrową ziemię, wodę i powietrze. Maluczcy tymczasem grillują w zagajnikach, wyrzucają do jezior zużyte opony, baniaki po benzynie, leciwie rowery i pralki, czasem nawet starą kanapę, podrzucają sąsiadom na łąkę śmieci z zawartością tablicy Mendelejewa albo zakopują je w lesie.

Przeciętny zjadacz chleba, który ma sumienie czyste, w obawie przed dziurą ozonową chowa głowę pod słomkowy kapelusz i nim zaśnie, sto razy pociesza się myślą, że świat nie może ot, tak sobie, z dnia na dzień zginąć. Ot, tak sobie...

A my, młodzież XXI wieku – czym mamy się pocieszać?

Mariusz Czarnecki I. 20

W drodze do marzeń

Sobota, godzina czwarta trzydzieści.

Irytujący dzwonek budzika wrywa mnie ze snu. Powinam już wstać, ale sama myśl, że mogę poleżeć jeszcze pięć minut, daje mi wiele radości.

Czwarta trzydzieści pięć. Czas „zabrać się” z łóżka i przygotować do podróży! Żeby dotrzeć do Bydgoszczy na zajęcia Międzyszkolnych Regionalnych Warsztatów Dziennikarskich, muszę przebyć około stu dwudziestu kilometrów. Denerwuje mnie niekiedy fakt, że mieszkam na wsi. Sam dojazd samochodem na przystanek autobusowy zajmuje mi dwadzieścia minut. Potem czeka mnie najgorsze – trzygodzinna jazda autobusem.

Nigdy nie lubiłam podróżować. Po sobotnich przeżyciach z autokarem mogę szczerze powiedzieć, że nie cierpię długich wyjazdów! Nawet ciekawa książka nie zawsze rekompensuje mi jazdę, ponieważ nie sposób skupić się na czytaniu, gdy autokar nie omijając dziur, przez całą drogę pędzi jak szalony. Gdy dojeżdżam do Bydgoszczy, czeka na mnie kolejna zła wiadomość – mam zbyt dużo czasu. Na zajęcia muszę czekać aż dwie godziny! Wiosną czas mija szybko, ale zimą jest to wyjątkowo koszmarnie, ponieważ chłód i minusowa temperatura odbierają resztki pozostałych sił.

W końcu nadchodzi ukojenie, czyli ukochane zajęcia!

Atmosfera i nastrój panujący na Warsztatach jest rekompensatą moich negatywnych przeżyć podczas podróży. Zajęcia są zawsze interesujące, niosą ze sobą całą potrzebną wiedzę dla przyszłego dziennikarza. Może to wydać się dziwne, ale nigdzie nie czuję się tak ważna jak właśnie podczas tych zajęć. Często po-



To ja, czekam na autobus do Bydgoszczy.

chwala od redaktora Mirosława Twaroga za wykazane osiągnięcia dla uczestników naszych spotkań działają jak narkotyki! A gdy słucham opowieści Redaktora o ludziach, którzy dzięki Warsztatom osiągnęli tak wiele, rodzi się we mnie nadzieja, że ja też kiedyś będę jedną z nich, że mogę osiągnąć sukces... I właśnie w tym momencie nie ma znaczenia dla mnie trud przejecha-
nia jednego dnia co dwa tygodnie w sumie ponad dwu-

stu kilometrów. Uświadamiam sobie, że ja chcę na tych zajęciach być!

Niestety, wszystko, co dobre, musi się kiedyś skończyć. Po kilku pracowitych godzinach czeka mnie droga powrotna. Często zdarza się, że aby zdążyć na autobus, muszę biec, ile sił w nogach, ponieważ przejście prawie dwóch kilometrów w piętnaście minut graniczy z cudem!

Droga powrotna wydaje się zawsze krótsza i przyjemniejsza. Wracając, analizuję spędzony dzień. Układam sobie w myślach to, czego nauczyłam się, oraz to, w jaki sposób zdobyta wiedza przyda mi się i zaowocuje w przyszłości. Gdy dojeżdżam do swojej miejscowości, pozostaje ostatnia część podróży – przejście trzech kilometrów do domu.

Zawsze jestem zmęczona, ale wiem, że nie był to stracony dzień. Trudy drogi na bydgoskie Warsztaty pokonuję dlatego, aby coś osiągnąć. Chcę zostać kiedyś docenioną nie za to, co mam i posiadam, ale za to, co mogę dać innym od siebie. We współczesnym świecie obowiązuje prawo rywalizacji, wszyscy między sobą o coś walczą. Ja chcę walczyć o siebie. Pragnę pokazać światu, na co mnie stać. Pokazać się z jak najlepszej strony, ale żeby tak się stało, muszę starać się o to od najmłodszych lat.

Moim koleżankom i kolegom wydaje się dziwne i niezrozumiałe, że w sobotę chce mi się tak wcześnie zrywać z łóżka i pokonywać długą, męczącą drogę do Bydgoszczy. A ja, mimo niemałych kłopotów i zwątpień, jestem szczęśliwa, że mogę robić to, co lubię. Wiem, że być może nigdy nie będę doskonałą, ale chciałabym udowodnić sobie i innym, że warto mieć wyznaczony cel i próbować go osiągnąć. Bydgoskie Warsztaty Dziennikarskie to świetny pomysł, ponieważ otwierają oczy i drzwi na przyszłość oraz pozwalają wybić się osobom, które mają marzenia...

Kinga Zarębska I. 15

Uśmiechy dzieciństwa

Dzieciństwo. Każdy wspomina je z nostalgią. Według S. Baley'a jest to okres od ukończenia pierwszego roku życia do około trzynastu lat. Wtedy pamięć dziecka staje się coraz lepsza, zaczyna odczuwać chęć kontaktu z rówieśnikami. Ma ogromną potrzebę poznawania świata, przez co nieustannie zadaje pytania. Nabywa różne umiejętności, które będą mu niezbędne w dalszym życiu. Kiedy ukończą trzynaście lat, dorośli nie przestają go traktować jak dziecko. Staje się „dużym dzieckiem”. Będzie nim już zawsze. Bo dzieciństwo to miłe wspomnienia, chociaż z upływem lat przybiera rozmaite pozy.

Opiekując się o dziesięć lat młodszą córką mojej chrzestnej, dostrzegłam ogromną przepaść między moimi dziecięcymi zabawami a tymi, które ją bawią. Wyjęłam klocki LEGO, które nigdy nie uwielbiałam układać z przyjaciółmi z sąsiedztwa. Z nostalgią zatopilałam rękę w wielkim, złotym pojemniku. Znany szelest od razu przywołał wspomnienia. Znowu poczułam się małą dziewczynką. Pochłonęło mnie szukanie klocków, „ludzików” i innych akcesoriów.

Michalina tylko spojrzała w moim kierunku i zapytała, co mnie tak zacięka w tych klockach. Pokazałam jej budowę prostego domku, na co ona tylko ziewnęła. Widząc jej znudzenie, odłożyłam ukochane klocki i zaproponowałam coś, na co ona ma ochotę. Skończyło się na tym, że grałyśmy w grę Hannah Montana. Opowiedziała mi o prezentach mile widzianych z okazji Pierwszej Komunii Św. Nie znalazł się wśród nich rower „Góral”, hulajnoga czy zegarek, tylko nowy laptop, telefon i skuter. Przypomniałam sobie własną Pierwszą Komunię. Radość z złotego roweru ofiarowanego mi przez chrzestnego, zegarka, lańcuszka od dziadka.

Naszą następną rozrywką było przeglądanie moich ubrań. Na tym polu nic się nie zmieniło. Małe dziewczynki nadal fascynuje przeglądanie garderoby mamy, cioci lub starszej siostry w poszukiwaniu czegoś dla siebie. Cóż, kobieca przypadłość, która nie zmienia się nigdy. Potem był makijaż i po „pannę Michalinę” przyjechała babcia.

Gdy zostałam sama, zaczęłam zastanawiać się, czym współcześnie jest dzieciństwo? Z całą pewnością jest zupełnie inaczej postrzegane niż kiedyś. Moi znajomi, których zapytałam o ich wspomnienia, z ożywieniem opowiadali o grze w piłkę, bieganiu po lesie, zabawie w chowanego, rysowaniu kredą po chodniku, kąpielach w jeziorze, jeź-



dzie na rowerze. Spędzaniu każdej wolnej chwili w towarzystwie kolegów z sąsiedztwa.

Zagłębiając się jeszcze bardziej w filozofię dzieciństwa, zapytałam o nie mamę. Z jej opowieści wyłonił się obraz gromady dzieci spędzających każdą wolną chwilę na aktywnej zabawie, jedzeniu domowych słodkości, którymi rozpieszczęły babcie i dziadkowie. Nie było mowy o komputerze, a telewizor posiadała tylko jedna rodzina na ulicy. Dzieci same robiły sobie zabawki. Wózek z pudełka po butach, własnoręcznie szyte ubranka dla lalek... Między okresem dzieciństwa mojej mamy a moim minęło trzydzieści lat. Ogromny okres czasu, a mimo to łączą nas podobne zabawy. Wystarczyło tylko podbieść lat, aby dziecięce igraszki na podwórku zastąpił komputer i telewizor.

Winą za to możemy po części obarczyć rodziców. Troska o własne dziecko to nic złego, wręcz przeciwnie – rzecz chwalebna. Czy ograniczanie miejsca na zabawę do w przydomowego ogrodu pozwala mu być szczęśliwym? Czy zamykanie go w czterech ścianach to dobre wyjście? Przecież w ten sposób dziecko powoli uzależnia się od rodzica. Staje się mało samodzielne. W niektórych sytuacjach wręcz bezradne. Dostaje komputer „do nauki”, jednak często służy on do diametralnie odmiennych celów. Ostatecznie mały Łukasz czy Małgosia spędzają przy nim cały dzień. Pochłonięci przeróżnymi grami zapominają o rówieśnikach i Bożym świecie. Kończy się na tym, że nawet z sąsiadem z naprzeciwką kontaktują się przez komórkę lub Internet.

Jaki z tego morał? Mając w pamięci nasze dzieciństwo, my, przyszli rodzice, zastanówmy się, jakie chcemy dać wspomnienia naszym pociechom. Proponuję – zamiast komputera wręczmy im piłkę i spodnie, które mogą zniszczyć. Za jakiś czas na pewno będą nam za to wdzięczne!

Natalia Szwedzińska I. 18
rys. Marta Jagiello (archiwum)



Na bydgoskim Starym Rynku.



Z Kurska przez Bydgoszcz do Berlina

Przyjaźń bez granic

Studenci, dziennikarze i ludzie kultury z Rosji, Białorusi, Ukrainy i Azerbejdżanu wyruszyli w 21. Marsz Pokoju po Europie. 11 maja zainaugurowali go w Kursku – 16 maja z transparentami w rękach, uśmiechami na ustach i ideą pokoju w sercach przeszli przez Bydgoszcz. Organizatorami Marszu byli Kurski Regionalny Oddział Fondu Pokoju i Kurski Związek Polskiej Kultury „Wspólnota Polska”.

– Co wy tutaj manifestujecie? – pytali przechodnie, widząc młodzież ze Wschodu, tańczącą i śpiewającą na bydgoskim Starym Rynku.

– Pokój i przyjaźń – odpowiedź można było wyczytać ze sztandarów, z jakimi maszerowali goście ze Wschodu. Uczestnicy Marszu, z prezesem Związku Polskiej Kultury „Wspólnota Polska” Janem Zembruskim na czele, zapraszali bydgoszczan do radosnego tańca solidarności i współpracy międzynarodowej. Przedtem jednak oddali hołd poległym i pomordowanym w czasie II wojny światowej, składając kwiaty pod pomnikiem Walki i Męczeństwa. Ten sam gest powtórzyli w innych polskich miastach, między innymi w Warszawie i Poznaniu. Pamięć o tych, którzy polegli w walce o pokój, ma łączyć Polaków i ludzi dobrej woli na całym świecie także dziś. Ale nie tylko ona. Uczestnicy Marszu patrzą w przyszłość również z nadzieją, że przyjaźń nie ma granic, w rozmaitych dziedzinach życia.

– Słabo mówię po polsku, ale bardzo chciałam zobaczyć wasz kraj, przyjechać, żeby przekazać międzynarodowe idee, żeby podkreślić, co tak naprawdę jest w życiu ważne – mówiła łamaną polszczyzną studentka ekonomii z Kurska. Na niej największe wrażenie zrobiły obiekty szkolne, które widziała w Bydgoszczy. – To fascynujące, że macie tutaj tak duże, piękne szkoły i aż trzy uniwersytety w jednym mieście!



Senator RP Jan Rulewski wśród najmłodszych uczestników Marszu.

– W polskich miastach najładniejsze są rynki, a na nich śliczne, stare kamienice, tak jak u was – mówi już po angielsku studentka germanistyki z Rosji. Ona także do Polski przyjechała na największą w swoim życiu manifestację wartości. Przyjechała do narodu, którego burzliwa historia uczy wiary w ideały. Dobrze trafiła.

– Waszą wyprawę traktuję jako próbę dzielenia się i czerpania ze wspólnego, międzynarodowego dostatku wolności i swobody, które udało nam się wywalczyć przed laty – mówił do uczestników Marszu senator RP Jan Rulewski, entuzjastycznie witany podczas spotkania w sali sesyjnej Rady Miasta, której piękny wystrój wywarł duże wrażenie na gościach.

– Chcemy, żeby nie tylko młodzież ze Wschodu, nie tylko z Europy, ale z całego świata żyła w pokoju, żeby zrozumiała, jak ważna jest przyjaźń – tak sens wyprawy tłumaczyła Irina Agapova z Kurskiego Regionalne-

go Fondu Pokoju, organizatorka Marszu. – W prezencie przywieźliśmy ze sobą termometr, żeby pokazywał w wyższą temperaturę uczuć między narodami. Chcemy uczyć się od was samorządności i demokracji, ale i wam chcemy przekazać to, co wartościowe w naszej kulturze.



Od lewej: Irina Agapova, Lech Zagłoba-Zygler i Jan Zembruski.

Goście na zaproszenie gospodarzy ratusza zapoznali się pod wodzą radnego Lecha Zagłoby-Zyglera m.in. z siedzibą i organizacją pracy Urzędu Miasta, zwiedzili Starówkę, Wyspę Młyńską, Muzeum Leona Wyczółkowskiego, a gród nad Brdą zobaczyli od strony wody – z pokładu „Słonecznika”, stateczku pływającego wyłącznie dzięki energii słonecznej. Originalnym akcentem tej podróży, wzbudzającym sympatyczne zainteresowanie bywalców nadrzeznej promenady, stał się koncert pieśni rosyjskich z repertuaru m.in. Okudźawy i Wysociego w wykonaniu młodzieży z Kurska i z wzajemnością – pieśni patriotycznych i ludowych zaprezentowanych przez bydgoskich uczestników rejsu.

Podczas wizyty w ratuszu – zarówno ze strony gości, jak i gospodarzy – padły propozycje rozpoczęcia współpracy gospodarczej i kulturalnej między miastami. Być może w przyszłorocznym marszu wezmą udział także bydgoszczanie.

Grupa przybyła do Bydgoszczy z Warszawy, gdzie spotkała się z kombatanami II wojny światowej. Z grodu nad Brdą wyruszyła do Gdańska, składając m.in. hołd „Solidarności” pod pomnikiem i bramą Stocznia, oraz do miast partnerskich – Tczewa i Dębna. Podróż zakończyła się w Berlinie, pod Bramą Brandenburską, a droga powrotna wiodła przez Poznań i Mińsk.

Bydgoskie spotkanie odbyło się dzięki współpracy Urzędu Miasta, senatora RP Jana Rulewskiego, bydgoskiego radnego Lecha Zagłoby-Zyglera i Mirosława Twaroga – wydawcy i redaktora POD WIATR, oraz reporterów czasopisma, dla których było ono okazją do poznania czytelników zza wschodniej granicy. Nasze pismo czytane w wielu ośrodkach polonijnych w Rosji, znane i przyjmowane jest z uznaniem w Kursku i pobliskim Orenburgu, stając się unikalnym pomostem przyjaźni tamtejszej „Wspólnoty Polskiej” z młodymi mieszkańcami miasta nad Brdą.

Dorota Misiak l. 20
 fot. Agnieszka Michalska



Od lewej: Dorota Misiak – studentka UMK, reporterka POD WIATR, Wiktoria Dremowa i Krystyna Rukanowa – studentki Kurskiego Państwowego Uniwersytetu.

Na przekór



- Zatańcz jak ładna dziewczyna.
- Nie jestem dziewczyną!
- To kobieta.
- Nie jestem kobietą!
- To kim jesteś?
- Jestem nikim.

To fragment rozmowy między nauczycielką muzyki a uczennicą Zespołu Szkół nr 31 Specjalnych w Bydgoszczy – placówki, której na pewien czas stałam się regularnym gościem.

Do końca życia zapamiętam pierwszy dzień spędzony w tym miejscu. Poniedziałkowe popołudnie. Prosto z mojej szkoły podążam do „31-szej”. Celem są lekcje muzyki. Z drobna pomocą udaje mi się dotrzeć do sali numer 7, w której zajęcia prowadzi nauczycielka muzyki, pani Joanna Zasada. Wchodzę do klasy jeszcze przed lekcją i dokładnie ją oglądam. Kolory zachowane w ciepłych tonacjach, na ścianach rozwieszono w antyramach prace uczniów, pełno tablic korkowych, a w narożniku sali – nierzucające się w oczy pianino i sprzęt muzyczny. Słowem: skromnie, ale przytulnie.

Zajmuję miejsce w ostatniej ławce. Teraz zajęcia ma klasa trzecia „b”, czyli Iwonka, Aga, Pati, dwie Paulinki, Zuzia i rodzynek – jedyny chłopak, Kamil. Dzieci wchodzą i od razu mnie zauważają.

Spoglądają na mnie ciekawie, aczkolwiek niepewnie, nie wiedząc, kim jestem i po co przyszłam. Pani Joasia tłumaczy im, że jestem tutaj, by zobaczyć, jak wyglądają ich zajęcia i być może opisać to w artykule. Fakt, że będę notować ich poczynania, działa na grupę bardzo mobilizująco. Biorą aktywny udział w lekcji, co jakiś czas przyglądają mi się, gestykulują, zagadują. Chętnie z nimi rozmawiam. Moją uwagę zwracają dwie „raperki” – Aga i Pati, które cały czas śmieją się i tańczą. Są głośne i wesołe. Niekiedy uspokaja je Kamil, który jako jedyny chłopak w grupie czuje się odpowiedzialny za zachowanie pozostałych. On z kolei nie tańczy za dużo, spokojnie pomaga koleżankom w wielu sprawach, grzecznie słucha poleceń nauczycielki.

Cała grupa jest chętna do współpracy, polecenia wykonuje szybko i bez protestów. Ze zdumienia szeroko otwieram oczy, słysząc, jak bardzo są muzykalni! To niezwykle!

Mam szczęście, gdyż poniedziałkowe zajęcia są próbą przed czwartkowym występem grupy w bydgoskim hospicjum. Cała lekcja mija więc na powtarzaniu układów. I to jakich układów! Widzę na własne oczy „Abbę”, przenoszę się do Afryki przy muzyce „Waka-Waka”, czuję magię świąt dzięki piosence „Biały śnieg”, a nawet mam okazję ujrzeć profesjonalnych raperów i raperki freestyle’ujących do hitu Justina Biebera! Śmiem twierdzić, że to wykonanie „Baby” było lepsze od oryginału. Nie mogę spuścić oczu z wesołej Zuzi, dziewczynki z zespołem Downa. Ma świetne poczucie rytmu, a jej hip-hopowych ruchów może pozazdrościć niejeden profesjonalista!

W każdym układzie więcej jest zabawy, improwizacji i gry aktorskiej niż prawdziwego tańca czy śpiewania, ale przecież – jak mówił klasyk: „Nie o to chodzi, jak co komu wychodzi!” Muzyka pełni tutaj bardziej funkcję terapeutyczną niż dydaktyczną. Uczniowie po kilkunastu minutach zabawy z instrumentami, po śpiewaniu i tańczeniu określonych, prostych ruchów są spokojniejsi (nawet „raperki” wydają się cichsze). Bardziej skupiają się na lekcji, a ich samoocena niesamowicie

rośnie. Kiedy po jednym z układów pytam wesołą, rezolutną Patrycję, czy jest zmęczona, odpowiada: „Tak, ale fajne, nie?”. Dzieciaki cieszą się, że mogą pokazać, co potrafią, że mogą otworzyć się i czerpać radość z tego, co robią.

Ci bardziej zaangażowani w muzykę należą do grupy tanecznej „Na przekór”, również prowadzonej przez panią Joasię. „Na przekór temu, że dzieci nie zawsze mają poczucie rytmu, nie zawsze potrafią się dobrze poruszać na scenie, nie zawsze słyszą muzykę tak, jak ja bym chciała” – tłumaczy Joanna Zasada. Do grupy należy dziewięć dziewcząt i Tomek. „Chłopak ma wadę słuchu, a tańczy rewelacyjnie. Sam wymyśla so-



bie takie choreografie, że gdy wychodzi na scenę, to jest istny... szal ciał!” – opowiada nauczycielka.

W środę przyglądam się próbie zespołu. Dziewczyny ćwiczą nowy układ „Modelki” do znanej piosenki „Wierność jest nudna” Natalii Kukulskiej z filmu „Och, Karol!”. Wykonawczyni przeobrażają się w piękne, znane modelki chodzące po wybiegu w Paryżu czy Mediolanie. Mają przy tym mnóstwo wesołej zabawy, jednocześnie poprawiając swoją koordynację ruchowo-słuchową oraz ogólnie – muzykalność.

Zajęcia oprócz pani Joasi prowadzi druga Asia – pani Joanna Jankowska. Obie nauczycielki biorą czynny udział w lekcji. Wedle zasady „Jak najmniej teorii, jak najwięcej praktyki”. Tutaj nie ma miejsca na nudne, „przegadane” zajęcia. Jeśli nie zainteresujesz ucznia, to on nigdy niczego się nie nauczy ani nie będzie robić postępów. Dlatego zajęcia muzyki czy grupy tanecznej aż tętnią energią i radością! Żeby młodzież miała poczucie, że robi to wszystko „po coś”, zorganizowane są różnego rodzaju pokazy, szkoła bierze udział w wielu konkursach.

Również w czasie wolnym od lekcji uczniom Szkoły Specjalnej towarzyszą muzyka i taniec. Kilka dni po próbie zespołu „Na przekór” mam przyjemność uczestniczyć w zabawie dla uczniów uczących indywidualnie, w czymś w rodzaju balu przebierańców. Spotykam tam znane mi już Patrycję i Agnieszkę. Co za miła niespodzianka!

Podczas balu konkursy wymyślają nauczycielki. Uczniowie bawią się m.in. w taniec na gazecie czy taniec z balo-

miny uczniów dowodzą, że zabawa jest wymyślona.

Czy młodzież z dysfunkcją umysłową jest nikim? Czy nic nie znaczy? To, co ujrzałem, to, co przeżyłam – zadaje kłam obiegowym opiniom. Wspaniałe, doświadczone grono pedagogiczne szkoły codziennie stara się udowodnić swoim uczniom, że są oni ważni, potrzebni i zdolni. Nauczyciele dają im szansę na rozwój kreatywności, improwizacji i pewnego rodzaju własnej twórczości. Podopieczni mogą się „wyżyć” kreatywnie przede wszystkim na lekcjach muzyki oraz dodatkowych zajęciach tanecznych grupy „Na przekór”. Więc dlaczego niektórzy, tak jak uczennica z przytoczonej na wstępie rozmowy, twierdzą, że są nikim? Nie wierzą w siebie?

To wina otoczenia, znajomych spoza szkoły. Niektórzy nie potrafią zauważyć w tych dzieciach nic, prócz ich inności, a tak naprawdę można się od nich sporo nauczyć. Chciałabym mieć ich optymizm, upór w dążeniu do celu, otwartość czy w końcu – tyle miłości, ile mają jej w sobie. To wielkie dobro. Nie niszczy go głupota i nietolerancja. Te dzieci nigdy nie staną się nikim. Będą ludźmi, którzy w najcudowniejszy sposób odbierają i interpretują muzykę. Bezinteresownie i uczuciowo. Na przekór wszystkim przeciwnościom losu.

Anna Nawrocka I. 17

Stronę ilustrują obrazy (olej na płótnie) bydgoskiego artysty Waldemara Zyśka – nauczyciela malarstwa w Młodzieżowym Domu Kultury nr 4.



M y z X X I w i e k u

Dusza kujona

Budzę się zrana potem. Kolejna noc udręczona przez koszmary. Wstaję, patrzę w lustro. Twarz znowu bielsza niż wczoraj. Objawy nerwicy, rozbiegane myśli, trzęsące się ręce. Mam osiemnaście lat a jestem już tylko cieniem, który przemyka rano chodnikiem. Powinno budzić się wypoczęta! Spójrzec w niebo! Uśmiechnąć się do lustra. Dlaczego tak nie jest ?

Sens ucieka podczas ciągłej gonitwy za kolejnym dniem. Jeszcze tylko pięć

minut na śniadanie, kilka na spakowanie się do szkoły. Wpadam dwie minuty po dzwonek. Biegnę do sali. Znowu zdążyłam na ostatnią chwilę. Za mną wpada kilkoro takich jak ja.

Coś jest nienormalnego z tym światem. Szukamy niedosięgniętych marzeń. Wyznaczamy cel, dla którego jesteśmy w stanie poświęcić prawie wszystko. Dlaczego ? Bo pragniemy lepszego życia. Chcemy uwolnić się od schematów. Zdobycić coraz więcej. Niczego nie żałować

na starość. Pędzimy, pędzimy, pędzimy... Chwytny wszystkie sroki za ogon, a i tak zawsze jakaś ucieka.

Jesteśmy tak zwaną „dobrą młodzieżą”- wzorowe zachowanie, bardzo dobre oceny, olimpiady, konkursy, praca społeczna. Wciąż chcemy być lepsi. Gonimy siebie nawzajem, a prowadzący w tym maratonie ciągle się zmienia. Wielu odpada, nie wytrzymuje napięcia. „Wyścig szczurów” trwający bez końca. Mało osób przyznaje się, że bierze w nim udział. Jednak w niejednym oknie światło świeci się do późnej nocy. Czasem ktoś zapyta; po co to robisz? Dla kogo? Wówczas robimy zdziwioną minę...

Każde z nas ma swoje głęboko skrywane powody. Najczęściej pragniemy przezwyciężyć kompleksy i niechęci. Mamy potrzebę udowodnienia innym naszej wartości. Przecież świat byłby gorszy bez nas. To my jesteśmy chlubą naszych szkół,

wzorem do naśladowania – kujony, młotki, lizusy, cyborgi.

Dlaczego nikt nas nigdy nie zapyta ; jak się czujesz? Czy ci pomóc ? Ludzie nie zdają sobie sprawy jak naprawdę wygląda nasze życie . Ile musimy wycierpieć, ilu nie przespać nocy. Niekiedy mamy ochotę przystanąć na chwilę i robić rzeczy tak banalne jak patrzeć w chmury lub uganiać się za wiatrem. Niestety, jesteśmy niewolnikami własnego czasu, własnej świadomości i oczekiwań społeczeństwa wymagającego od nas coraz więcej. Zawsze musimy iść w górę, nie możemy się cofnąć. A gdzie nasze prawo do pragnień, chwil słabości?

Ubezłasnowolnieni - tęsknimy za zrozumieniem. Czasem wystarczy pochylić się nad naszą skuloną postacią, wyciągnąć rękę i nic nie mówić.

Magdalena Wojtkowiak I.18

Tajemnica złotego środka

Każdy ma swoje ambicje. Dzięki nim osiągamy cele, one mobilizują nas do wykonywania zadań nie tylko związanych z naszym zajęciem, ale także do pracy nad sobą. Podpowiadają wiele decyzji. Gdyby nie ambicje, nie czytaliśmy książek spoza listy lektur, nie uczylibyśmy się na więcej niż mierną ocenę. Nie pogłębilibyśmy naszych zainteresowań. Jednym słowem – nie robilibyśmy tego, co czynimy z własnej woli, dla własnej satysfakcji.

Zapewne znasz ludzi, o których myślisz, że nie mają ambicji. Wydaje ci się, że łatwiej im żyć. Niczego od siebie nie wymagają, zawsze są zadowoleni. Nie martwią się, nie ronią łez w poduszkę,

nie zażywają tabletek nasennych. Nie osiągają wprawdzie nic, lecz są za to wyluzowani, wyzwoleni z codzienności i co bardzo wymierne: wypoczęci i wyspani. Na ludzi ambitnych patrzą często z irytującym pobłażaniem.

Ja też ich znam. Ostatnio koleżanka powiedziała mi: „Stać mnie na więcej, ale po co?”. Wcale nie stać jej na więcej. Mówi tak, bo chciałaby wykonać stawiane jej zadania, ale nie może. Nie potrafi.

Nikogo nie stać na więcej, niż wykonuje. Nawet gdy zasoby wiedzy czy inteligencji pozwalają danej osobie uzyskać lepsze wyniki, to fakt, że ich nie osiąga, oznacza, że po prostu

nie może. I nie jest ważne, czy ograniczyły ją okoliczności, czy – pewnie częściej – lenistwo. Dopóki nie zmieni się, nie pokona własnej słabości, musi przyznać przed samą sobą, że na więcej jej nie stać. Mówi „stać mnie”, aby siebie dowartościować i być może naprawdę zaczyna wierzyć, iż bez wysiłku może dorównać każdemu. To jedna skrajność.

Zdarza się, że ambicji jest zbyt dużo. Ambicji niepozwalającej poddać się, nakazującej ćwiczyć, poprawiać, pracować, uczyć się, walczyć zawsze do końca. Każdego dnia być lepszym, osiągać więcej. Cele, niekiedy niedorzeczne, zaczynają przesłaniać świat. Tracimy przyjaciół, nie mamy czasu dla ro-

dziny. A gdy osiągamy cel? Cóż, staje się nieistotny...

Gdy marzenia urzeczywistniają się, następuje chwila radości i już ambicja podpowiada nowe, jeszcze lepsze cele. Nie liczy się nic innego – wszystko trzeba zrobić dla nich. Powoli przestajemy dbać o siebie, stajemy się męczynami do wypełniania zadań. Coraz częściej mówimy: „Jest mi to obojętne”, używamy słowa „bezsens”. Dlaczego? Bo straciliśmy radość, świeżość. Jesteśmy zdegustowani, zniechęceni. Nadal zgadzamy się z mądrymi myślami, przepisami na życie, a jednocześnie oddalamy się od ideałów w życiu codziennym. Zapracowani, szarzy, zmęczeni, nie mamy siły pracować nad sobą. To obraz drugiej skrajności.

Jak znaleźć „złoty środek?”.

Anetta Jabłońska I. 19

*Bądź z nami,
Przyjacielu!*

■ Od pierwszego wydania – różnymi drogami: lądem, wodą i powietrzem, za pośrednictwem różnych towarzystw, instytucji, osób prywatnych i duchownych, POD WIATR dociera do odległych o tysiące mil od Kraju środowisk młodzieży polskiej. Gdybyśmy połączyli w jedną linię drogi wiodące nasze czasopismo po światowych szlakach, to zapewne stanęlibyśmy na Księżycu. Polacy są wszędzie – POD WIATR chce być tam, gdzie oni.

■ Jeżeli Ty, nasz młody Przyjacielu, czytając POD WIATR gdzieś daleko od Ojczyzny, odczuwasz pragnienie podzielenia się z nami swoją radością, smutkiem, porażką lub sukcesem – napisz do nas. Opowiedz o swoim życiu, pasjach, swoich tęsknotach i marzeniach. Przyślij swój wiersz, rysunek, opowiadanie. Twoją twórczość, opinię, komentarz i refleksję poznają Rodacy w ponad 500 ośrodkach polonijnych w 106 krajach. Czekamy!

■ Jeżeli znasz miejsca, które pomogły Ci poznać naszą dawną przeszłość, jeżeli gdzieś obok Ciebie znajdują się ślady naszych wspólnych projców – opowiedz nam o nich. Napisz. Będziesz z nami, a my z Tobą!



fot. archiwum

Jubileuszowa edycja Międzyszkolnych Regionalnych Warsztatów Dziennikarskich



I Ty zostań dziennikarzem!



Młodzieżowy Dom Kultury nr 4 w Bydgoszczy i Stowarzyszenie Sympatyków Dziennikarstwa Młodzieżowego zapraszają utalentowaną młodzież z gimnazjów oraz dziennych szkół średnich na jubileuszową edycję spotkań z dziennikarstwem prasowym, radiowym i telewizyjnym: **XX MIĘDZYSZKOLNE REGIONALNE WARSZTATY DZIENNIKARSKIE**.

W programie m.in. doskonalenie sztuki pisania, analizy i interpretacji tekstu, przetwarzanie obserwacji, informacji i opinii w różne formy wypowiedzi medialnej oraz podstawy: tworzenia gazety, techniki radiowej i telewizyjnej. Zajęcia odbywać się będą 2 godziny w tygodniu (od października br. do czerwca 2012 r.) w Bydgoszczy. Ćwiczenia specjalistyczne poprowadzą dziennikarze oraz realizatorzy radiowi i telewizyjni mediów regionalnych. Warsztatami kieruje Mirosław Twaróg – ich twórca i autor koncepcji programowej.

Tradycyjnie utworzona zostanie grupa regionalna dla uczestników Warsztatów zamieszkałych w odległych (powyżej 50 km) miejscowościach Kujaw i Pomorza oraz w województwach sąsiednich. Grupa ta odbywać będzie zajęcia w co drugą sobotę miesiąca. **Zajęcia są bezpłatne.**

ZGŁOSZENIA PISEMNE zawierające: imię, nazwisko, adres, typ szkoły oraz klasę należy przesłać do 5 września włącznie na adres: **Międzyszkolne Regionalne Warsztaty Dziennikarskie, 85-099 Bydgoszcz 23, skr. pocztowa 49 lub e-mailem na adres: 20.warsztaty@wp.pl**

O przyjęciu na Warsztaty zadecyduje wynik pisemnego sprawdzianu kwalifikacyjnego, który odbędzie się 10 września (sobota) o godz. 11.00 (organizatorzy nie wysyłają indywidualnych zawiadomień) w I Liceum Ogólnokształcącym w Bydgoszczy pl. Wolności 9. Na sprawdzian należy przynieść przybory do pisania i legitymację szkolną. Absolwenci Warsztatów otrzymują certyfikat ich ukończenia. (Więcej o Warsztatach www.podwiatr.pl)

Na zdjęciach: zatrzymane w kadrze wspomnienia XIX Warsztatów.

19 edycji Warsztatów ukończyło 1673 uczennic i uczniów z Bydgoszczy i ponad 200 miejscowości Kujaw, Pomorza, Wielkopolski, Warmii i Mazur.